

388467

708437

F. Szymanski

M Ł O D Y

DOBOSZ

przez Dra KAROLA BRUG,

z niemieckiego

przełożył

KS. M. OSMAŃSKI.

935

F. Szymanski

Wydanie drugie poprawione.

BRODNICA,

drukiem i nakładem C. A. Köhlera.

1861.

F. Szymanski

M F O D Y

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA

WYDAWCA



388467

K. 2832/67

ROZDZIAŁ I.

Podrzutek.

W południowej Francji, w bliskości rzeki Adury, mila drogi od Bajonny, stała w roku 1797. mała chatka; jej samotne położenie i nędzna zewnętrzność, czyniły smutne na przechodniu wrażenie, a może i przyspieszyły jego kroki z bojaźni jakiegoś niemiłego zdarzenia. — A przecież ta chatka mieściła w sobie dwoje, prawda że ubogich, ale najpocziwszych ludzi. Tak to pozory mylą!

Antoni Berard, liczący około 58 lat życia, właściciel tej chatki, cieszył się długi czas spokojnym i zadowolniającym pożyciem: czuła, pocziwa i pracowita małżonka; posłuszne cnotliwe dzieci; zyzne pola, obfite żniwa, trzodka bydła i owiec, wszystko to przykładało

się do szczęśliwego pożycia. Ale uśmiech szczęścia jest zanadto zdradliwy, żeby mu można ze wszystkiem zaufać; tego doświadczył Antoni, gdy smutne przypadki poczęły jego nawiedzać chatkę. Nie w skutek jakichś wybryków, jakich sobie zwykle ludzie upojeni pomyślnością pozwalają, lecz przy pracy odniósł znakomity szwank, który go powalił na łożę boleści; a że to zwykle bieda pojedynczo nie chodzi, wnet zmarła mu żona, pochował kilkoro dzieci, i tak odtąd zamieszkała w jego chacie nędza, której się nie zdołał oprzeć; pola nie miał kto obrobić, ogrody chwastem zarosły, zabrakło żywności.

W tém nieszczęściu pozostał mu najmłodszy syn, który jedyną był jego podporą i pociechą. Szczepan z natury chłopiec dobroduszny, rozsądny, poczciwy, choć jeszcze bardzo młody, umiał przecieź ocenić położenie ojca i swoje; kłopotliwie zapatrując się na takowe, chociaż nie był zdolny uprawić roli, która składała cały ich majątek, to przecieź staraniem swoim zebrał małą trzodkę owiec i kóz, której korzyściami opędzał najkonieczniejsze potrzeby życia. Od rychłej młodości poświęcony Szczepan paster-

skiemu życiu, wnet postąpił do téj doskonałości że go wszyscy podziwiali. Widywano go na najwyższych górach, nad przepaściami parowami z trzodą, dla której tam najzyczniejszą znajdował paszę. Zanim z rana wydał się z domu, zaopatrzył ojca najtroskliwiej w to wszystko, o czém wiedział, że służy do potrzeby i wygody chorego a gdy wieczorem wrócił do domu, odnawiał znowu swoją pieczołowitość, pokrzepiał cierpiącego swą tkliwością, rozweselał śpiewami, i doprawdy nie mogła synowska miłość zdobyć się na większe ofiary i być troskliwszą, jak była miłość Szczepana dla dawcy życia.

Ograniczone li na siebie samych te dwie istoty, zdawały się mieć jedno serce i jedną duszę: co się jednemu podobało, to pochwalał i drugi; a to wzajemne zaufanie stawało im za skarb nie przebrany, który chyba śmierć tylko zniszczyć mogła, a z tąd spływała na obojga spokojność i zadowolenie, jakiego nie daje obfitość skarbów doczesnych, bo w duchu, nie w worku leży szczęśliwość człowieka; jak tam powiedział nasz stary wieszcz: „ten pan, zdaniem mojem, kto przestał na swoim.“

Ale wśród niedostatku, mogą tylko być szczęśliwe dusze czyste, których żaden powiew namiętności nie zbrudził, które w swém odosobnieniu od złego świata, nauczyły się miłować Boga, jemu służyć i prócz Niego nie mieć wyższych potrzeb. Tę zynęją mądrości nauczył się Szczepan od swego ojca, który ją znowu odziedziczył po swych rodzicach, i był pewnym, że posiadać ją dostateczną jest, aby dojść do celu życia człowieka. Nie zaprzyjaźnieni ze światem, nie zarażeni jego żądzami, jego zbytkami, jego przewrotnością, wdzięcznie przyjmowali od Boga dary, któremi się żywili, a które im były daleko cenniejsze od tych, któreby im świat mógł ofiarować.

Wśród takiego prostego i spokojnego życia upływał wiek dziecinny Szczepana. Dotąd nie znał innego kłopotu, jak ten co wynikał z cierpień jego ojca; lecz gdy rozpoczął piętnasty rok swego życia, poczuł w sercu swém jakąś próżnię, która mięszała jego wesołość; pierwszy raz widział, że mu potrzeba, prócz jego owiec, kóz i psa, jakiegóś istoty, przyjaciela, rówiennika, które-muby mógł udzielić swych myśli, swych

uczuć, i któryby nawzajem jemu swe serce otworzył; brak takowego zasepił jego oblicze. Smutny małowówny, służył ojcu z dawną gorliwością, ale go nie rozweselał jak niegdyś śpiewem i wesołą gawędą; z rana przysposabiał ojcu dawnym zwyczajem co było potrzebnem dla jego zadowolenia, ale smutne pożegnania zdradzały jego tajemne cierpienia. Na próżno usiłował roztropny ojciec odkryć ranę serca, na próżno pytał, czemu jest smętnym; — Szczepan z obawy, aby cierpiącego nie zasmucić ojca, zbywał pytania obojętnemi odpowiedziami; zamiast odkryć ranę i wziąć lekarstwo z rąk rozropnego przyjaciela, wolał raczej w samotności przy trzodzie swęj nieść ulgę sercu swemu rzewnemi łzami.

Blisko miesiąca dręczył ten smutek Szczepana, gdy dla rozrywki siadł na wzgórzu blisko drogi prowadzącej do Bajonny, ażeby przypatrzeć się przechodzącym ludziom, których towarzyskiemu życiu, nie znając należycie jego cieniściej strony, pierwszy raz zazdrościć poczynał. Każdy przechodzień stał się celem jego pilnej uwagi, a przy tem zapatrywaniu się ciekawym zapo-

mniał o swym smutku, o trzodzie, i o tém, że czas wrócenia do siedziby już nadszedł. Zaszło słońce, i ostrzegło go, że cierpiący ojciec tęskni za powrotem syna; ta myśl przerwała jego marzenia. Lecz zanim zeszedł z góry, aby zebrać swą trzodę, jeszcze raz rzucił badawczy wzrok na trakt i spostrzegł dwoje ludzi niewiastę i mężczyznę, którzy zatrzymawszy konie, zeszedli z woza i zbliżyli się do stóp góry, na której on stał. Tu obudziła się jego ciekawość, rozumiał że może zechcą się o co zapytać, i zamyslał zejść z góry, aby uprzedzić ich życzenia, gdy tymczasem dostrzegł, że niewiasta złożyła jakiś ciężar przyniesiony na ręku w trawie pod górą. Zdawała się czynić to niechętnie, bo złożywszy załamała, jakby w rozpacz ręce, i schyliła się ku przedmiotowi złożonemu, właśnie chcąc go podnieść, lub ostatnie oddać mu pożegnanie; lecz mężczyzna porwał ją gwałtownie, wsadził na wóz, zaciął konie, zawrócił i szybko spieszył w stronę, z której przyjechał. — Ciekawy coby to było, co niezajoma złożyła w trawie, spędził trzodkę z góry ku domowi, a sam udał się w miejsce, które

jego ciekawość zajęło; po upuszczonej białej chustce doszedł miejsca i zadziwienie wyrwało się z ust jego, gdy znalazł chłopczyka około pięciu lat starego, w porządne przybranego suknie.

„O niegodziwcy! — zawołał ze zgrozą — zabili dziecię, i aby ukryć swą zbrodnię, tu one złożyli!“ — Tak do siebie mówiąc schylił się, podniósł dziecię, i znalazłszy że jest żywe, radośnie zawołał: „o nie! ono żyje — serce jego bije. — Mój Boże, żeby je też można ocucić!“

Wziął podrzutka na ręce, pospieszył za trzodą idącą z wolna ku domowi, i szybkim krokiem stanął u drzwi rodzinnego domu; przecież dziecię zdawało się w twardym śnie pogrążone, nie ocknęło się, lubo ciężko oddychało. Wszedł do chaty, a gdy go ojciec posłyszał, karciał łagodnie, że późnym powrotem nabawił go rozmaitych smutnych domystów.

„Ojczy! mimo woli spóźniłem się! — Patrz oto przyczyna mego spóźnienia!“

„Cóż to — dziecię? — Zkąd ono i co z niem chcesz czynić?“

„Znalazłem je u stóp góry, przy trak-

cie,“ odrzekł Szczepan, i opowiedział ojcę wszystkie okoliczności.

„Jakże wyglądały te osoby które to dziecię podrzuciły?“

„Już było przyciemno, żeby je należycie poznać; zdaje mi się że musieli być obywatele Bajonny, ubiór zdawał się być podobny miejskiemu; od miasta przyjechali i w tamtą też stronę wrócili.“ —

„Czemuż nie krzyknął na nich, — byłbyś ich przynajmniej postraszył.“

„Gdybym to był mógł wiedzieć że dziecię podrzucają; o byłbym niezawodnie postraszył, ale w pomroku niemogłem dojść; a gdym zszedłszy z góry znalazł dziecię już oni kto wie gdzie byli.“

„Szczęście wielkie dla tego malca, żeś go dostrzegł, bo gdyby był w trawie na noc został, może by go dziki zwierz pożarł. Pokażże mi go bliżej i podaj łuczzywka zapalonego, abym mu się lepiej przypatrzył. Dobrze przybrane; nie pospolitych rodziców; szczególna, że się nie ocknie! — Pewnie mu dali na śpik, żeby krzykiem nie przeskodziło ich zbrodni.“

„A jak tak w śpiku zostanie i umrze?“

„Tego się nie trzeba obawiać, wszakci chorobliwie nie wygląda; patrz tylko jaki rumieniec w twarzy! Złóż je na twoje posłanie i przykryj; jutro gdy się ocknie może nam powie z kąd jest; po takim wieku spodziewać się należy, że mówić już umie; pewnie z pięć lat będzie miał ten chłopczyzna.“

W części o stanie chłopca zaspokojony Szczepan, złożył go na swoim łóżku; i pośpieszył przyporządzić ojcę wieczerzę. Wszakże choć zajęty wieczerzą, przecież znieuważał zaglądał do śpiącego, niezadowolniony długim jego snem.

„Ażeby mu też wpuścić w usta letniego mleka, toczy go to powinno pokrzepić.“ Tak z sobą rozmawiając, przystawił do żarzewia dział dla swego sierotki, ażeby przebudzony ciepłem jedzeniem mógł się zasilić. W krótko po wieczerzy ojciec zasnął, a Szczepan cieszył się tęp, że bez przygany może się poświęcić dziecięciu. — Siadł przy łóżku i wpatrując się w śpiącego, mówił ze łzami: „Niegodziwi! jakże też oni mogli to dziecię porzucić! — Jakże też ludzie mogą być zdolni takie popełnić okrucieństwo! — Jakie to wielkie szczęście że byłem w bli-

skości tego niecnego czynu. Właśnie nigdy na tém miejscu nie bywam, a dziś mię tam coś pociągnęło. O! ojciec ma prawdę, gdy mawia, że Opatrzność rządzi wszystkiem i kieruje wszystko na dobre; nie wątpliwa rzecz: że Ona mię tam posłała, żebym tego podrzutka od zguby uratował; Jęj też wola niezawodnie jest, żebym się zajął wychowaniem jego. O! ja to uczynię! Bóg tego chce, a ja tego chłopca tak lubię!“

Po dłuższej chwili ocknął się chłopiec, a obejrawszy się częścią zadziwiony, częścią przestraszony, począł płakać i wołać: „Pepyta! — Pepyta!“ —

„Ta, której ty wzywasz nie może cię słyszeć dobre dziecię! — Wszakże nie smuć się, ja się o twoją pomyślność lepiej starać będę jak ci, z których rąk dopiero co wyszedłeś! — Nie płacz! — Napij się oto ciepłego mleka; jest ono bardzo smaczne; — sprobujno!“

„Nie, nie! — Pepyta!“ powtórzyło dziecię żałośnie, odpychając ręką podane sobie naczynie z mlekiem.

— Łagodnością i przymilajacém naleganiem przemógł wreszcie Szczepan upór dziecka;

napilo się mleka i znowu twardym snem zasnęło, z którego dopiero na drugi dzień się obudziło, gdy młody pasterz ze spoczynku nocnego powstał. Z obudzeniem znowu poczęło żałośnie wzywać Pepyty.

„Któżto jest ta Pepyta, której ty tak usilnie wzywasz?“ zapytał Szczepan.

„Moja mamka.“

„A gdzie jest twoja matka?“

„Moja matka? — Ach ta już umarła.“

„A gdzie?“

„W domu.“

„A gdzie jest twój dom?“

„O daleko! — Bardzo daleko ztąd!“

„A wiesz ty z którego kraju, lub z jakiego miasta jesteś?“

„Nie; — tego niewiem.“

„Więc tyś pewno z twoją mamką Pepytą wyszedł z rodzinnego domu?“

„Tak, wozem wyjechaliśmy pięknym, który ciągnęły muły, a tak prędko szły, że mi się wszystko w oczach migąło.“

„Czy z wami jechał jaki mężczyzna.“

„A tak, powoził nas Ernano, ale potem nas opuścił.“

„Któż to jest ten Ernano?“

„Mąż Pepyty.“
„Był on ci też przychylny?“
„O nie! — Pepyta mawiała iżem go miał kochać, ale ja nie mogłem, bo on tak źle na mię patrzył.“

„A gdzie jest twój ojciec?“
„W grobie, przy matce.“
Szczepan ścisnął litościwie rękę sieroty, a ta czytając w oczach zroszonych szczerą litością, uspokoiła się po trosze i na żądanie przyjaciela zabrała się do śniadania, które jej smakowało.

Stawiając przed dzieckiem świeżą miarkę mleka, zapytał Szczepan: jakże ci imię?

„Ernest.“
„Masz ty jeszcze drugie imię?“
„Tak; Ernest z Malwan!“
„Dawno już, jak ci matka umarła?“
„O, już bardzo dawno!“
„Czy ją sobie przypominasz?“
„Bardzo mało.“
„A ojca pamiętasz?“
„Nie, całkiem nie pamiętam.“
„Któż ci tedy powiedział, że rodzice twoi nie żyją?“

„Pepyta.“

„Gdzieżeś mieszkał z tą kobietą?“
„W małym domku, przy którym był sad, z pięknymi kwiatami i wielkimi drzewami.“
„Któż u was mieszkał?“
„Ernano.“
„Jakże długo byliście w podróży?“
„Ja nie rachowałem; — może ośm dni. Sypialiśmy w brzydkich jak ten domach, ale tak dobrego mleka jak twoje nie dawano mi; ani nie było tam takich dobrych ludzi jak ty jesteś.“

„Cóż ci też Pepyta mówiła wczoraj?“
„Nic, bo ciągle płakała. Ernano krzyczał na nią za to, a gdy i ja płakać zacząłem, obił mię.“

Dziecię na te wszystkie pytania odpowiadało częścią francuzkim, częścią hiszpańskim językiem, oba te języki znał dobrze tak Szczepan jak i Antoni, jako mieszkający blisko granicy hiszpańskiej, a następnie mający częstą zażyłość z hiszpanami. Z tego badania wniesli: że dziecię pochodzi z hiszpanii, a człowiek, którego z odrazą wspominało, był sprawcą jego nieszczęścia.

Że nie można było należycie zbadać tajemnicy, która okrywała historię podzrucu-

nego dziecięcia, przeto zalecił Antoni synowi, ażeby się udał do miejscowej policyi i zawiadomił ją o tym znalezku. To przecież nie miało żadnego skutku, nieład jaki pod czas wojennych zawieruchów panował w biurach, przeszkodził śledzeniu tej rzeczy i skończyła się na spisaniu protokołu. Podrzutek zatem stał się ciężarem biednego pasterza.

Ciężar ten wychowania i utrzymania obcego dziecka, jakkolwiek trudny, tylko Antoniemu widział się być takowym; nie przez wzgląd na ofiary których wymagał, bo wiedział, że te przypadną na Szczepana, a wnosił z jego przychylności ku chłopcu, że one mu za ciężkie nie będą. Nie szło mu przeto o nakłady; lecz zazdrość, ta brzydka przywara, która nie rzadko nawet i serca starców opanowywać i resztę ich dni goryczą napełniać zwykła, oszałamiała Antoniego, tak iż przez jej niecny dymek widział sierotę w fałszywych kolorach. Uważał, że od czasu jak chłopiec znajdował się w chacie, Szczepan daleko weselszym był jak przed tem, widział że podrzutkowi udało się spędzić dawną posepność z umysłu syna, czego ojciec

dokazać nie zdołał, a z tego uczynił ten fałszywy wniosek, że syn rozdziela swe serce, które dotąd on sam jeden całkowicie posiadał i do którego posiadania jedyne miał prawo. Fałszywyto był wniosek, bo Szczepan na włos nie schybił z dawniej drogi obowiązków synowskich, owszem przez pociechę dla swego serca w towarzyszcu znalezionej, szedł tą drogą z wesołością, co i ojcu zakłopotanemu dawniej o tajemny smutek syna, ulgą pod ten czas stać się było powinno. Ale cóż? — nikt od ułomności wolen nie jest!

Wszakże te myśli nie opanowały Antoniego na samym zaraz wstępie Ernesta w dom jego; owszem, kochał początkowo sierotę porównie z Szczepanem, sprawiła to poczęści litość nad sierotą, poczęści i to, że dziecko miało dar przypodobania się każdemu i niewinną swą wesołością umiało rozpedzić smutek. Znalazły się te myśli dopiero z czasem a to im stary więcej uważał, jak jego syn z szczególniejszém wylaniem serca kochał Ernesta, i zawitała ta dziwaczna obawa: „o już on teraz dla mnie mniej przychylnym będzie!“

Co się tyczy sieroty, ten lubo w samym

początku nowego swego położenia tęsknił za Pepytą, lubo czarny pasterzów chleb nie bardzo mu smakował, przecież że był za nadto młodym, aby nieszczęście swe w całej rozległości ocenić, że Szczepan sownie zastąpił pieczołowitość i przymilenia Pepyty, że chłopcu wolno było dzień cały pędzić swobodne pasterskie życie, przeto wnet się oswoił z terazniejszym położeniem, zapomniawszy o swoich dawnych stosunkach.

Proszę nie sądzić, że Ernest prowadził zupełnie próżniacze życie, jak je prowadzą naszych okolic pasterze, że przeto umysł jego pozostał zupełnie zaniedbanym. O nie! Tam pasterze prócz dozierania swęj trzody, trudnili się ręczną, nie przeszkadzającą tamtemu, robotą; tak więc Szczepan nie był li bezczynnym towarzyszem Ernesta, lecz oraz nauczycielem kształcącym jego umysł. Nie byłyc wprawdzie wiadomości tego młodego mistrza rozległe: na mędrca nie był zdoln wykształcić swego ucznia; ależ czy to przeznaczenie ludzkie na tēj ziemi koniecznie wymaga wielkich i obszernych wiadomości, jakich nabyć można tylko w wielkich szkołach? Czyżby to nie było lepiej na tēj ziemi

i ludzie nie pewniej doszliby przeznaczenia swego, gdyby posiadali więcej poczciwości i sumiennosci, niż wiadomości i nauk? Szczepan odebrał od ojca swego proste, ale rozumne i religijne wychowanie; zasady Religii ś. głęboko wpojone były w ducha jego, nie dla tego żeby je koniecznie rozumiał, lecz że podług nich żył; posiadał przeto więcej treści w czynném, cnotliwém prowadzeniu się od niepoczciwego mędrca i zdoln był korzystniej kształcić swego ucznia niż mędrzec, bo nauką i przykładem sposobił go na poczciwego człowieka.

Powodowany uczuciem i przyjaźnią dla Ernesta, strzegł się coś takiego mówić lub czynić, czego by uczeń nie mógł przyswoić sobie z korzyścią; Ernest zaś dlań zobowiązany czułą przyjaźnią chętnym był do wszystkiego; jedno słowo lub spojrzenie Szczepana zobowiązywało Ernesta, że chętnie wykonał co tamten wymagał.

Każdego poranku mawiał Szczepan: „zmówmy pacierz, aby uprosić od Boga, bez którego pomocy człek nic korzystnego wykonać nie zdoła, błogosławieństwo do dziennych spraw naszych i wsparcie, żeby się

ustrzedz grzechu.“ — Klękli oboje, Szczepan mawiał powoli i pobożnie pacierz, a Ernest mawiał za nim. Tokoż czynili i wieczorem.

Od czasu jak Szczepan Ernesta znalazł, przemyślał nad tem, żeby chłopczyzna nie stał się Antoniemu ciężarem, żeby przez nakład na sierotę nie poniósł ojciec uszczerbku w wygodach. Sąsiedni pasterz znał się na ziołach w aptekach potrzebnych, oswoił przeto z tą znajomością Szczepana, inny zaś nauczył go pleść koszyki, były to nauki bardzo pożyteczne, z którymi Szczepan oswoił swego ucznia, bo spieniężone zioła i koszyki przyniosły kilka talarów, co i zastąpiło wydatek na sierotę i nie jedną sprawiło wygodę choremu ojcu. Mimo to przecież wzmagająca się coraz więcej choroba Antoniego i wiek podeszły czyniły go coraz przykrzejszym i ostrzejszym względem Ernesta. Szczepan na tém najwięcej cierpiał, bo właśnie co dzień był przymuszony w obec ojca bronić oblubieńca swego; lubo i te sarkania wychodziły na dobre, dla tego że ojciec, jako nieuprzedzony, widział dobitnie wskazywał błędy, które Ernest popełniał, a których

młody nauczyciel jako miłością zaślepiiony nie uważał, lub jako niedoświadczony, nie umiał poprawić. Rozsądny syn korzystał z napomnień ojca, okrzesywał wypustki lekkomyślnej młodości, a Ernest ochroniony przez to został od nie jednej przywary, którąby zaniędhana, przeszedłszy w nałóg, szkodzić mu była mogła w dalszém pożyciu.

„Widzisz Erneście, mawiał mu częściej, ojciec mój jest cierpiący, a przytém w wieku, nie trzeba mu tego za złe poczytywać, że czasami pomrukuje. Starych ludzi prócz tego trzeba szanować, i starać się korzystać z ich napomnień; my młodzi mało uważamy na nasze postępowanie, a człowiek stary wie dobrze z doświadczenia, jakie skutki rzeczy za sobą pociągają; wie że z tego, co nam się być drobnostką zdaje, rośnie wielkie złe. Przeto trzeba nam starego słuchać, szanować i unikać powodów do karceń i napomnień. Zobaczysz, że w taki sposób będzie lepiej.“

Ernest przeżył w ten sposób cztery lata w domu Antoniego i miał około dziewięciu lat wieku. Rozwinięcie sił jego ciała i przyrodzonego rozsądku, ułatwiane codzienném

ćwiczeniem, uzdatniło go tak dalece, że był znakomitą Szczepanowi pomocą przy hodowaniu trzody, wyrobach koszyków i zbieraniu ziół, równie jak spieniężaniu onych; a w taki sposób nie był ciężarem dla swych dobroczyńców. Obok tego nauczył się dosyć płynnie czytać, poczynął nie źle pisać a katechizm umiał należycie. Tak daleko rozciągały się wiadomości Szczepana, i tyle ich też tylko zdolnym był udzielić swemu uczniowi. Ale wielkie pojęcie i chęci Ernesta zapowiadały Szczepanowi, że nierównie więcej możnaby było udzielić wiadomości chłopcu, gdyby się trafił nauczyciel po temu. Zakłopotanemu o to Szczepanowi przysłała w pomoc dobroczynna Opatrzność, jak to dalej opowiem.

ROZDZIAŁ II.

Wspaniałomyślna ofiara.

Pod ten właśnie czas uwolniona była Francya z okropnych więzów, w jakich jęczała była od roku 1789. Naczelnicy bezbożności byli już poskromieni, przestano prześladować i okrutnie męczyć wyznawców Religii, kałpani wracali z wygnania, a lud, osobliwie odległy od głównych miast, samotnie mieszkający po wsiach, na którego bezbożność wpływu wyrzucić nie zdołała, począł wolniej oddychać, i śmieliej niż przed tem zgromadzać się po świątyniach pańskich, przy swych pasterzach, którzy wyszedłszy z ognia prześladowań, stali się tém gorliwszymi głosicielami Religii i z nierównie

większém poświęceniem nieśli w ofierze dobremu ludowi swe starania i prace.

Wieś, do której należała chata Antoniego, dostała także w tym czasie nowego proboszcza. Ksiądz Bonneval apostolską miłością bliźnich pałający, której heroiczne próby dał w czasie prześladowania, o tém tylko myśląc, że tak długo opuszczone od pasterza owieczki swe zgromadzić i na prawą drogę naprowadzić powinien, zajął się dzielnie obowiązkami swemi.

Takiemu pasterzowi nie mógł być nie znanym piękniemi przymiotami serca zaszczycony Szczepan i pod jego opieką zostający, cnotą i pojętnością umysłu odznaczający się sierota. Przypatrzwszy się obydwom bliżej i poznawszy ich stosunki, równie jak zdatności, zachęcał Szczepana do dalszej opieki nad biednym, zapewniając że nadgroda Nieba nie może go minąć za jego piękny czyn, a przykładając się do ich pomyślności, wziął na siebie obowiązek kształcenia uzdatnionego Ernesta.

Z największą wdzięcznością przyjęli obydwaj przyjaciele ofiarę Bonnewala, który rzeczywiście poświęcił godziny poobiednie,

o ile mu inne obowiązki nie przeszkadzały, uczeniu Ernesta; ten zaś z swęj strony stał się odtąd najpilniejszym uczniem jego. W tych godzinach przekładał mu obowiązki człowieka, pokazywał wielką mądrość prawa Bożego, uczył sprawiedliwości, pokory, przewycięzania siebie samego, pracowitości, wytrwałości, mężstwa w smutnych położeniach życia, — zgoła oswoił go z nauką Jezusa w tak jasny, pojętny i skuteczny sposób, że jego staranność sownie wynagrodzoną została. — Podobne postępy czynił Ernest w innych wiadomościach: języku hiszpańskim, historii, matematyce, jeografii.

Tak upłynęło znowu lat siedm; a Ernest coraz jaśniej dostrzegał, jak wielce być wdzięcznym powinien Szczepanowi i usiłował to uczucie wdzięczności w danym razie w sposób najdelikatniejszy okazać. Przekład ten siedmioletniego czasu naznaczony był szczególniejszym szacunkiem Ernesta i Szczepana ku zacnemu kapłanowi, i czystej miłości zobopólnej; żyły te osoby w takowym związku zostające w szczególniejszém szczęściu. Wszakże uczy codzienne doświadczenie: że jak niebo nie jest tak cią-

gle pogodne, żeby nie zasępiły go chmury, tak szczęśliwość człowieka nie bywa tak trwałą, żeby ją czasami nie przerywały smutne zajścia, a w takowych człowiek powinien się uzbroić męstwem i cierpliwością; takowe koleje życia ziemskiego spotkały naszych przyjaciół.

Pierwszym z tych niemiłych ciosów było przesiedlenie księdza Bonneval. Jakkolwiek szanowny ten kapłan przywiązany był w ogóle do swoich parafian, a szczególnie do swoich przyjaciół Ernesta i Szczepana, jakkolwiek życzeniem jego było przy nich pozostać; przecież rozkaz przełożonych był mu świętym, z ofiarą serca poddał się onemu. Do czegoż mam tu kreślić ów wielki żal, który dotknął szczególnież tkliwego Ernesta z utraty swego dobroczyńcy? — Dostyc powiedzieć, że uczuł go w takiej mierze, w jakiej umiał ocenić swoją stratę. Odtąd próżnia jakowaś niepokojąca opanowała serce jego; a to tém więcej, że uważał to nie-
szczęście jako zwiastuna dalszego smutku, pewny że takowe nieszczęsne wypadki pojedynczo nie chodzą.

Jakoż bezzasadną ta obawa nie była. Je-

szcze gdy nie myślano o przesiedleniu ks. Bonneval, Szczepan dożył lat popisowych, stanął przed kommissją wojskową i zwolniono go wprawdzie od wojskowości przez wzgląd na chorobę jego ojca, ale uznany za zdatnego mógł być pewnym, że konieczna potrzeba przeważy wzgląd na familią. Właśnie w czasie odejścia ks. Bonneval przechodziły po kraju wieści o wojnie hiszpańskiej, a choć zacny kapłan cieszył przyjaciół ile mógł, przecież Ernesta trwożyła możebność ściągnięcia Szczepana pod broń.

I nie była ta trwoga płonną. Niebawem wiedziano z pewnością że Cesarz Napoleon w lekki sposób zrzuciwszy dziedziczną familię królów hiszpańskich, chce osadzić tron jednym z swoich braci; że naród hiszpański z zaciętością się temu sprzeciwia; że ztąd wyniknie zacięta wojna; że Senat francuzki pozwolił na pobor 80,000 młodych ludzi do wojska; że przeto i Szczepan nie ujdzie wojskowości. To o ile Szczepana trwożyło, o tyle mieszało i spokojność Ernesta. —

Jak gdyby i tego nie dosyc było, rozpoczęły się przeciągi wojsk w okolicy Bajonny, wyniszczyły okolicę, sprzedaż ziół i koszy-

ków nie przynosiła zysku, drogość wielka żywności nastąpiła: krótko powiedziawszy Szczepan przymuszony był temi okolicznościami skąpo dzielić się żywnością z swym przyjacielem, aby tylko ojciec nie cierpiał niedostatku. A przecież jego dawna grymasność, z powodu niedostatku powiększała się z dniem każdym, nie skąpił bynajmniej zarzutów: że Ernest pod ten krytyczny czas jest dlań nieznośnym ciężarem.

Ernest pokrywał swój żal milczeniem, usiłował postępkami swemi ułagodzić staro, ażeby nie przyczynić smutku, już i tak z wielu względów cierpiącemu Szczepanowi. Po największej części zostawał przy trzodzie, aby wyręczyć przyjaciela, który przewidując, że wkrótce znajdą się poborcy wojskowi, stronił od rodzinnej chaty i częstokroć ukrywał się w lasach.

Pewnego poranku będąc przy trzodzie, spostrzegł Ernest na przeciwnym sobie wzgórzu żołnierza, na wszystkie strony ogłędającego się. Spostrzegłszy Ernesta zawołał żołnierz: „słyszysz chłopku! wszakżeś ty z tych tu stron!“

Ernest domyślając się złego, nie miał dosyć odwagi, żeby mu odpowiedzieć, aż na powtórzone pytanie odpowiedział: że lubo nie jest w tych stronach urodzonym, przebież tu od kilku lat przebywa.

„Więc mi możesz oszczędzić biegania po tych porozrzucanych chałupach. Możesz mi wskazać gdzie tu mięszka Antoni Berard?“

To pytanie potwierdziło domysł Ernesta, a poznawszy w zbliżającym się wojskowym z odznaków feldwebla, zapytał: „czy pan Feldwebel znasz tego starego pasterza?“

„Nie. — Ja tylko tyle wiem, że on ma syna, a ten powinien stawić się do wojska. Od tego czasu jak go odstawiono do rezerwy, zeszyły znaczne odmiany; potrzeba wojska każe, żeby się stawił do pułku, a ja właśnie idę po niego, zabiorę go z sobą, wytresujemy go, a potem pójdziem do Hiszpanii.“

„A ojciec jego? — Cóż się z nim stanie, jeśli mu tę jedyną weźmiecie podporę. On jest stary, schorzały, żadnej sobie rady dać nie może, — jeśli mu weźmiecie syna jedynaka, co go pielęgnuje, to starego zabijecie.“

„A cóż mnie do tego! — Cesarz rozkazuje, a żołnierz musi być posłusznym.“

„Ach; ja myślę, że gdyby Cesarz wiedział o niedoli Antoniego, zlitowałby się nad nim, i zostawiłby mu syna na usługi.“

„Cóż ty papłasz, — Cesarz ma o czem innym myśleć, nie o waszych stosunkach. — A wszakci my właśnie wszyscy, co służy w armii, opuścić rodziców musieliśmy; — jestto każdemu nieprzyjemnie, ale cóż robić? kiedy nie ma zastępcy, to trzeba samemu; gdy się jest żołnierzem, to się z czasem człek odtęskni. Prowadź mię, nie tracąc czasu, do mego rekruta.“

„Poczekajno pan trochę! Mówiłeś o zastępcy, czybym ja też nie mógł zastąpić Szczepana?“

„Ty?“

„No ja!“

„A wiele ty młokosie liczysz lat?“

„W siedmnastym. A zresztą cóż się tu o lata pytać, gdzie jest ochota, chęć szczerą znoszenia trudów wojskowych, zdrowe ciało, a nadewszystko męztwo i odwaga?“ —

„Ale cóż ty sobie myślisz chłopcze! czy to ty tak wielce lubisz wojskowość?“

„O nie! — ale ja kocham Szczepana; bo on mię malcem, podrzuconego, znalazł i wychował, i teraz jeszcze, choć w biedzie, dzieli się chętnie ze mną kawałkiem chleba. O jakżebym był szczęśliwym, gdybym za niego mógł służyć, cierpieć i umrzeć! — Panie Feldwebel! nie pogardź moją prośbą, dopomóż mi do tego, żebym za Szczepana wstąpił w szeregi ojczyste.“

W czasie téj mowy przyglądał się Feldwebel mówiącemu, jak gdyby chciał zbadać wzrost, siłę i zdolności Ernesta, a ujęty jego postawą i mową podał mu swą dłoń i rzekł:

„Mój chłopczku, ty chcesz szlachetny postępek wykonać, małoby się kto na takowy zdobył, a ja cię dla tego lubię, i radbym ci w twojem przedsięwzięciu dopomógł, lecz że i ja pod rozkazami stoję, więc nie mogę uczynić wszystkiego, czego sobie ty życzysz. To co ja na rzecz twoję uczynić mogę jest to, że nim pójdę do Berarda, żeby mu zabrać syna, co mi jest zlecono, wprzód twoje życzenie przedstawię kapitanowi. Jest on uczciwym człowiekiem i wiem że zechce twoją prośbę poprzeć. Umiesz ty pisać?“

od „Umiem we francuzkim, hiszpańskim i łacińskim języku.“

„A to pięknie! — A któż cię nauczył?“

„Proboszcz nasz, ale ten właśnie przeniół się na inne miejsce.“

„Siądźmy. Tu oto masz papier, pióro i atrament; za stolik może ci służyć mój kaskiet. — Pisz prośbę do kapitana, żeby cię przyjął do wojska w miejsce Szczepana Berarda.“

Ernest siadł, i nie długo namyślając się, napisał tklivą prośbę, którą skończywszy podał żołnierzowi do przeczytania. Ten przeczytawszy rzekł: „Ślicznie! — Pisziesz jak uczony, a to widać że i ze serca; zdaje mi się, że twego żądania nie odrzucą, a gdy się tak stanie, możesz być pewnym że wojskowość zrobi cię człowiekiem, skoro cię kulki mijać będą. Podam twój list kapitanowi i daję ci to zapewnienie, iż ile zdołam przyczynię się za tobą.“

„Serdecznie dziękuję za przyrzeczenie! — Ale proszę jeszcze ażebyś pan Feldwebel, nie prędej przyszedł do domu Antoniego, aż cała ta rzecz skończoną będzie. Bo gdyby Szczepan dowiedział się, że ja go chcę za-

stąpić, mimo przywiązania do ojca swego, i niechęci służenia w wojsku, nie dopuściłby tego, abym go wyręczył; on nie powinien nie wiedzieć o moim zamiarze.“

„Pojmuję ja twą myśl; ale trzeba ci i to wiedzieć, że gdy wyższa władza na zastępstwo zezwoli, musi stary Berard dać swoje zezwolenie i przy zapisie musi być dwóch świadków.“

„O to mniejsza; trzeba nam tylko taki obrać czas, w którymby Szczepan nie był w domu, żeby się nie dowiedział o naszych zamysłach. Pokażę panu dom, w którym wróciwszy z zezwoleniem zwierzchności mnie znajdziesz.“

Po czem wyprowadził Feldwebla na wzgórze przyległe i wskazał mu dom sąsiedniego pasterza. — „Otóż to jest owa chała, o której mówiłem.“

„Dobrze, mój poczciwy chłopcze! Będę się starał twój interes dobrze wykierować, bo ci muszę wyznać, iżhym cię rad miał w mej kompanii. Co gdy nastąpi, sam będę cię ćwiczył w powinnościach żołnierza, żebyś się łatwiej i bez zwykłych przykrości wyćwiczył. Bądź tymczasem zdrów!“

Po oddaleniu się żołnierza, rozważył dopiero Ernest skutki swego przedsięwzięcia, lecz że tylko tą drogą można było złemu zaradzić, że za Szczepana pójdzie w rekruty, przeto polecił siebie i swój zamysł Bogu. W tych myślach szedł ku chacie Piotra, sąsiedniego pasterza, który równie jak ojciec miłował Szczepana; temu powierzył swój plan. Piotr pochwalił go, i przyrzekł przyłożyć się do skutecznienia onego.

Złąd, zapewniwszy sobie pomoc, szedł do swego pomięszkania, trafił tam nad swoje spodziewanie Szczepana i sądził, że jego przytomność zniweczy zamiary. Ze smutku, który pokrywał twarz przyjaciela domyślił się celu jego bytności.— W obecności ojca nie wspominał o tem, lecz na osobności wyznał Ernestowi co mu dokuczca.

„Ja muszę im zemknąć, — mówił — nie podobna, abym chorego ojca opuścił! — Pójdę w lasy, a choćby mi tam przyszło żyć korzeniami, do wojska wzięść się nie dam.“

Z trudnością zdołał Ernest wmówić w Szczepana, że ucieczka zamiast polepszyć, pogorszy jego położenie.— Wszakże, żeby

nim zamysł jego pomysłny weźmie obrot, oddalić go od domu, radził ażeby pasał trzodę w niejakięj odległości od siedziby, i w ten sposób unikał oczu śpiegujących; a że tak dłużej jak zwykle oddalonym być powinien, przeto usprawiedliwi go, gdy pozostanie przy chorym celem pielęgnowania go. — Pierwszy raz w życiu swém zamilczał prawdę przed Szczepanem, korciła go ta okoliczność dużo, lecz konieczność tego wymagała. Im więcej Szczepan okazywał wstrętu do wojskowości, tém więcej Ernest uczuwał konieczność poniesienia dla niego ofiary; a im silniej był przekonany, iż Szczepan, gdyby się mu zeznał, jego ofiary nie przyjmie, tém więcej widział się zmuszonym do tajenia swych zamiarów.— Udało się oddalić od siedziby Szczepana.— Ernest uściskał serdecznie oddalającego się przyjaciela.

Tymczasem Feldwebel nazwą Frankur, jak najszczerzej pracował w interesie Ernesta i nie było mu trudno skłonić swego Kapitana na stronę tak wielce zachwalonego choć jeszcze nie lotniego rekruta, zwłaszcza że w tym właśnie czasie hiszpanie mimo kapitulacyi Junty na rzecz Napoleona, dzielnie

opierali się wojsku francuzkiemu, niszczyli jego pułki, i trzeba było wysłać na wzmożenie sił coraz świeższe posiłki; nie czyniono przeto wielkiego wyboru, a chętny i światły rekrut jak Ernest, był zaiste miłszym niż barczysty i stary nieuk. — Krótko mówiąc, kapitan przyjął zastępstwo Ernesta; Frankur pośpieszył spisać układy. Antoni zdziwiony wspaniałomyślną ofiarą Ernesta, dał mu chętnie ojcowskie błogosławieństwo, i tak zaciągnięty do wojska odszedł z Feldweblem, zanim Szczepan mógł się nawet domyśleć o jego zamiarach.

Późno wieczorem wrócił z swego ukrycia Szczepan smutny, bo mu wojskowość, a bardziej jeszcze opuszczenie biednego ojca, mocno na sercu ciążyło. Obeszło go to nie mało, że Ernest, jak zwykle, nie wyszedł przeciw niemu, — wnioskował sobie, że pewnie w domu są żołnierze mający go zabrać. Przerażony bojaźnią cofnął się; ale po chwili ośmielił się zajrzeć przez okno. Świeca się paliła, ojciec rozmawiał z Piotrem; nie widząc niebezpieczeństwa, wszedł do chaty, a pierwsze jego zapytanie było: „gdzie jest Ernest?“ —

Tak Piotr jak i ojciec, nie śmieli odpowiedzieć na to kłopotliwe zapytanie, domyślając się, że odpowiedź zmartwi Szczepana; aż gdy powtórzył swe pytanie, odrzekł ojciec z zająkaniem się: „Synu mój, drogie moje dziecko! — uspokójże się! — bądź mężnym!“

„Mężnym? — cóż się stało z Ernestem? — mówcie — zaspokoście mię!“

„Szczepanie! — odezwał się Piotr — ty jesteś zanadto troskliwym o przyjaciela; jemu nic się złego nie stało; żyje i jest zdrów; przekonaj się z jego listu.“

Szczepan odebrał drżącą ręką list i czytał co następuje:

„Kochany Szczepanie!

„Wybaczyszże mi, iż tailem przed tobą moje postanowienie? — Tego po mnie okoliczności niezbędnie żądały; Ty miałeś być „wziętym do wojska, ojciec twój pozostałby „był bez opieki i wsparcia, mnie przeto kazała wdzięczność zastąpić ciebie. — Prosiłem ażeby mię na miejsce twoje do wojska przyjęto, a prośba została wysłuchaną.“

Tu Szczepan przerwał czytanie i powie-

dział z wyrzutem: „i ty ojciec dozwoliłeś mu iść do wojska?“...

„A cóż miał ten biedny człowiek czytać? — odrzekł Piotr. Nie czyni ojcu wyrzutów, bo on nie chętnie, tylko na usilne prośby Ernesta zezwolił. — Pomimo żalu, jaki uczuł z obawy utracenia ciebie, żądał przecież koniecznie, aby się ta rzecz nie stała bez twojej wiadomości, ale Ernest opierał się temu wszelkimi siłami, i zdaje mi się że miał słuszną rację. — Wszakże czytaj dalej.“

„Jeden z nas musiałby koniecznie wstąpić w szeregi. Gdybyś ty odszedł, zważyłby tylko coby twój biedny ojciec ucierpiał! „a ja sam byłbym w tym razie daleko nie- „szczęśliwszym, niż jestem obecnie, bo te- „raz mam tę przynajmniej pociechę, że od- „wracam od was nieszczęście i daję dowód „wdzięczności, którą to ofiarę Bóg niechy- „bnie łaskawie przyjmie, i zechce mi obrany „stan ulżyć i osłodzić. — Przeto uspokój się! „i bądź podporą naszego wspólnego ojca; „boć on i mnie wychował sierotę, a jego „błogosławieństwo przyłoży się niezawodnie „do mego uszczęśliwienia. Wszakże zresztą „nie opuszczam cię na zawsze; kiedyś po-

„łączymy się nierozrywając. — Bądź szczę- „śliwym! pamiętaj o twoim Ernestie ale nie „w żalu, lecz w nadziei zobaczenia się, jak „i on o tobie nigdy nie zapomni.“

Odczytawszy list, zamilkł; — po chwili posępnego dumania powstał, i spieszył do drzwi. Na przeraźliwy krzyk ojca zwrócił się, i widząc jak ten ku niemu wyciągnął swe wyschłe ręce, padł w jego objęcia.

„Szczepanie! — mówił żaloszny ojciec — to i ty mnie chcesz porzucić? — A cóż się na ten czas ze mną biednym stanie? — A toć chyba wykopaj przed grób, i w nim mię żywcem zagrzeb, żebym więcej nie cierpiał.“

„Ale ojciec! czyżto można zimną krwią znieść, żebym to dziecko wystawione było na niebezpieczeństwo wojenne? — Czyż można żądać, żebym za mnie krew swą przelewało?“

„Ach! tego cnotliwego chłopca będzie niezawodnie Bóg miał w swej opiece! — nie wystawiaj sobie jego przyszłości w tak ponurych farbach; przecież nie wszyscy w wojnie giną. A kiedy on miał tyle wspaniałości, że się dla mnie poświęcił, czy ty synu mój mógłbyś być okrutnym dla ojca? —

O, nie opuszczaj mnie! — Pozostań przy mnie nieszczęśliwym. Ciesz się, że Opatrzność tą ostrą drogą doprowadzi twego przyjaciela do pomyślnego celu.“

Przycisnął syna do serca strapiiony ojciec, a Szczepan nie mógł się oprzeć słusznym rozczulonego ojca prośbom.

Pozostawmy tych żałością rozrzewnionych ludzi w ich frasunku, ażeby przypatrzeć się Ernestowi, którego przyjaźń i wdzięczność na ciernistą prowadziła drogę.

ROZDZIAŁ III.

Mały dobosz.

Zawód, który Ernest rozpoczął, był wistocie szczególnie i dla niego zupełnie nowy. Pod strzechą pasterza żyjąc w zupełnym odosobnieniu, wiedział o wojnie tylko z powieści, z książek. W tem zaciszu poznał wprawdzie niektóre słabości ludzkie, ale jak daleko zdołają namiętności wyprzeć człowieka z granic cnoty, ba nawet uczciwości; jak daleko zdolne są człowieka zaslepić i upodlić aż do stanu zwierzęcia, to mu całkiem było niewiadome. Zresztą wychowany pomiędzy cnotliwymi chrześcianami, którzy prawom Religii, zgodą i miłością tchnącej, chętnie się poddawali, miał teraz wstąpić

w towarzystwo ludzi, którzy te święte prawa codziennie przekraczali, i z nich się bezczelnie natrzęsali. Żeby serce swe zachować nieskalane wśród tej rozwiązłości, ileżto trzeba było niemiłych ponieść ciosów, ile trzeba było posiadać stałości i męztwa! — Ale wszystkiemu temu podoła człowiek przy pomocy Boskiej i szczerych chęciach! —

Począł tego wszystkiego z wolna doświadczać, skoro opuścił strzechę, pod którą był wychowany, i w niej swego jedynego przyjaciela; a przecież postępował biedak naprzód, choć ze zranionem sercem, odwaga go nie odstępowwała.

„Takie zachowanie się twoje jest pełne męztwa mój Erneście! mówił idący z nim Feldwebel. Nie tak jak ci rekruci co z nami idą; to prawdziwe tchórze! — Myślałbyś że to trzoda owiec, przeczuwająca nóż, który im gardła przerzynać będzie! — Prawdać, że na zabawę nie idą, ale czyżto zaraz rozpaczać? Toć raz umrzeć trzeba, — a przecież nie każda kula człowieka trafi. — Ja widzisz już dziesięć lat żyję w wojsku, właśnie zawsze w ogniu, a przecież żyję, i myślę je-

szcze żyć długo, aby zrobić z ciebie dobrego żołnierza!“

„Dziękuję p. Feldweblowi, będę się starał usilnie być godnym jego uczniem.“

„Tak, tak, chłopcze! — Ja z tobą zawsze będę; bo muszę ci się przyznać, że twój postępek bardzo mię zobowiązał; a polecenie starego nie bez szczerzej chęci wziąłem sobie za ścisły obowiązek. — Wiedz, że kto z tobą zacznie, będzie miał ze mną, z Feldweblem do czynienia.“

„P. Feldwebel! wybacz jeśli ci za twoje dobroć serca przyzwoicie w tej chwili podziękować nie zdołm. — O tém przecież bądź pewnym, że nie trafiłeś na niewdzięcznego, że obowiązkiem moim świętym będzie stawać się twój opieki coraz godniejszym.“

„Wierzę ci! — Ale teraz oto muszę ci coś powiedzieć w sekrecie, żeby cię to później niewiedomego nie przeraziło. Ale o tém nikt niema wiedzieć!“

„Zaręczam, że sekretu nikomu nie odkryję!“

„Oto nasz Pułkownik jest trochę szorstki żołnierz; kocha on żołnierza, ale aż go wy-

probuje; nim to nastąpi podobny jest rozpalonemu żelazu, które gdy nieostróżny pochwyci, dobrze się sparzy. — Osobliwie gdy krótko przed wychodem w pole dostanie świeżych rekrutów, w ten czas zwykł być w złym humorze. Jeżeliby na ciebie brzydko spojrział, nie przeleknijże się; — myśl sobie, że każdy się takim kąskiem pożywi, po tém będzie zobaczysz lepiej. Zresztą ja cię jemu szczególnieć polecę; bądź tego pewnym.“

„Mój Boże! to więc jeszcze nie pewno, że mię za Szczepana przyjmą?“

„O, tego nie myśl! — Ja tu już nadrobie, że cię przyjmą. Spuść się na mnie, bo naprzód nasz Pułkownik jest najlepszym w świecie człowiekiem, choć jego powierzchowność tego nie zdradza, skoro się dowie odemnie o twoim pięknym postępku, zaręczam, że cię pokocha. A potem musisz wiedzieć, że ja mam u niego znaczenie. Nie kłopot się przeto o nic; wszystko pójdzie dobrze!“

Tak poufnie rozprawiając z Ernestem, doprowadził Feldwebel swoich rekrutów do St. Jean-de-Luz, małego miasteczka nad

Niwettą, pięć mil od Bojanny, gdzie pułk, do którego Ernest miał wstąpić, stał garnizonem. — Pułkownik był właśnie zatrudniony ćwiczeniem swego pułku w obrotach wojennych, na płaszczyźnie przed miastem, gdy przyszli rekruci; — zbliżył się natychmiast przejrzeć rekrutów. Jak przepowiedział Feldwebel, posępiła się twarz Pułkownika spostrzegłszy ludzi od prac rolniczych wziętych, z których należało zrobić dopiero zgrabnych żołnierzy. Przyczem byli wszyscy niskiego wzrostu, nie zalecający się oku pod żadnym względem.

„Do czegoż tu tych dzieci użyć? — odrzekł Pułkownik do Feldwebela. A wszakci tu ani jednego nie ma, któryby broń zdołał udźwignąć; a my tu mamy niezwłocznie wymaszerować do Hiszpanii, i wnet zmierzyć się z nieprzyjacielem!“

„Prawda Wny Pułkownika, że to wszystko wybierki, lecz ja temu nie jestem winien; wszystko co było zdolniejsze, jest do pułków wybrane. Z tém wszystkiem, choć to chłopcy małe, przecież da się z nich coś zrobić, jak ich weźmiemy pod nasze ręce. — W takich młokosach ochoty więcej jak w sta-

rych, a ja myślę że w dni czternaście ogładzimy ich i zrobimy z nich żołnierzy.“

Przypatrzywszy się Ernestowi, rzekł Pułkownik: „a cóż to za dziecko? — Przecież to aby nie rekrut?“ —

„Nie Wny Pułkowniku, to jest zastępca!“

„Zastępca? — Ja przecież nie myślę, żeby Francur pozwalał sobie żartować?“

„O hynajmniej! — Jeżeli Wny Pułkownik zechce łaskawie mię posłuchać, odmieni niezawodnie swe zdanie.“

Odstąpili cokolwiek na stronę; Feldwebel z poruszeniem przedstawił Pułkownikowi stosunki Ernesta; Pułkownik spoglądał kilka razy na młodzieńca z politowaniem i zadowolnieniem; to spojrzenie pocieszyłoby było biedaka, ale świadek nie bardzo sprzyjającego sobie wystowienia się Pułkownika, spuścił oczy ku ziemi, zajęty smutnemi myślami.

Po skończonej rozmowie przywołał Pułkownik Ernesta do siebie w tonie łaskawym i rzekł: „Feldwebel uwiadomił mię, że ty chcesz zastąpić swego przyjaciela, który jest jedyną podporą swego starego i chorego ojca; czy tak?“

„Tak jest w istocie Wny Pułkowniku! — Wprawdzie szczerem mojem życzeniem było pozostać przy moim przyjacielu i opiekunie na zawsze; lecz gdy to być nie może, gdy się rozłączyć trzeba, mnie przystała powinność zastąpić jego miejsce.“

„Rozważże sobie mój kochanku co czynisz; stan żołnierski, jest stan bardzo trudny; ty jesteś młody, niedoświadczony, nieprzyzwyczajony do trudów, więc ten stan będzie ci tem przykrzejszym. Zanim podejmiesz tę wielką ofiarę, namyśl się należycie.“

„Wny Pułkowniku! ja to sobie już rozważyłem i nieodzownie na wszystko jestem gotów. Za przyjaciela mego Szczepana chciałyby i życie położyć, żeby go ocalić; jeżeli stan żołnierski ma sobie właściwe ciężary i trudy, pewnym jestem, że one na wspomnienie przyjaciela będą mi lżejsze.“

„Wszakże ty masz zaledwie szesnaście lat; użyć cię mogę chyba tylko na dobosza.“

„I to mi będzie przyjemne, bylebym tylko został przyjęty w miejsce Szczepana.“

Po czem Pułkownik przywołał przełożonego doboszów. Byłto człowiek dumny z

swego wzrostu, ostry na podwładnych, pełen obłudnej pokory względem Pułkownika.

„Flamand! — mówił do niego Pułkownik. Oto jest młody człowiek, którego ci szczególnie polecam. — Chcę abyś się z nim dobrze obchodził, i dobrego uczynił z niego dobosza; zrozumiałeś?” —

„Wykonam rozkaz mego Pułkownika, ku jego zadowoleniu!” Przymiem spojrział dumnie na Ernesta.

„Idź teraz za twym mistrzem, — szepnął Feldwibel Ernestowi, — zobaczymy się niebawem. Nie bój się, wszystko pójdzie dobrze!”

Biedny Ernest poszedł za swym przełożonym. — Smutek i podróż tak go zmęczyły, że zaledwo nie upadł wszedłszy do grona swych kolegów. — Ci przyjęli go z głośnym śmiechem, ile że ubiór jego zdał im się być godzien szyderstwa; powaga Flamanda mogła tylko nakazać milczenie. — Domysleć się można, jakie było położenie Ernesta wśród tych lekkomyślnych młokosów, których mowy, obyczaje i zwyczaje nieskończenie różne były od obyczajów wśród jakich Ernest wzrósł i był wychowanym. Do tego przy-

łożyła się jeszcze ta okoliczność, że Ernest nie miał ani grosza, aby się wkupić w koleżeństwo tych rozpustników, za czem poszło, że został celem pośmiewiska.

Początkowo tak go odurzył ten wrzask i prześladowanie, że przysłała mu myśl, opuścić wszystko, — uciec; — aleć powoli uspokoił się, bo sobie przypomniał, że się poświęcił za Szczepana, że mu przeto cierpieć wypada. Umyślił sobie, na wszystkie drwinki milczeć, — nie odpowiadać, bo sądził, że w taki sposób nie tylko nieda powodu do nowych dowcipków, ale gdy się przekonają towarzysze, że ich strzały nadaremnie padają, uprzykrzy się im wysilać. Słyszał, że człowiek z charakterem zyskiwa szacunek; chciał doświadczyć prawdziwości tego zdania. I w rzeczy samej doznawał coraz więcej spokoju.

Jeden z kolegów który był kuchennym, postawił na beczie za stół służącej dużą miskę zupy. Wszystko się do miski cisnęło; Ernest zbliżył się także; ale że nie było miejsca dla niego, cofnął się. Widząc to jeden ze starszych zapytał: „czyś ty nie głodny, że odchodzisz?”

„Bez wątpienia! nie pierwszy raz mi głód dokucza, lubo na to skarżyć się nie zwykłem. To mi się przecież pierwszy raz w życiu przytrafia, że widzę ludzi samolubnych, którzy odpychają od miski tych, co z nimi porównne do niej mają prawo; ludzi lekko-myślnych, którzy mają sobie za zabawkę ubliżać temu, który ich w niczem nie uraził.“

„On ma słuszność! — odrzekł kapral. — Czas już porzucić te dzieciństwa. — Ustąpcie, żeby i on miał miejsce.“

Po czem Ernest siadł i jadł wspólnie z drugimi. — Gdy się ta burza uśmierzyła, używał przez czas jakiś spokojności; ale wnet zaczęły się dawne drwinki, przy sposobności, którą zaraz opowiem.

Pułk, do którego należał Ernest, dla znakomitych przeciągów dążących do Hiszpanii, ustąpić musiał z miasta i rozłożył się w polu w namiotach i barakach. Ernest zawczasu obrał sobie kącik, w którym przenocować zamysłał; a że był bardzo znużony i podróżą i całodziennymi uprzykrzeniami, zabierał się do spania, klękawszy wprzód, aby odmówić pacierz. Wyjął z zanadru mały krucyfiks, i trzymając go w ręku modlił się pobo-

żnie. — Koledzy zwrócili nań swe oczy i poczeli naprzód z cicha szeptać sobie i chichotać się; później stali się głośniejszymi. Posłyszawszy takowe drwinki Ernest chciał przerwać modlitwę, lecz sumienie powiedziało mu: „kto się Jezusa wstydzi przed ludźmi, tego On się też wstydzić będzie przed Bogiem!“ — Przeto kończył swój pacierz, mimo zgietku i natrzasań, które daleko słyszane być mogły.

W tem wchodzi Feldwebel i krzyknie donośnym głosem: „cóż to tu za krzyk! — Jak to? wy natrzasicie się z tego młodego człowieka, że dopełnia swego obowiązku? — A to niegodziwość? — Śliczni mi z was żołnierze, kiedy rozpustni! — Cóż to wam szkodzi że on się modli, skoro jest dobrym żołnierzem i kolegą waszym? — Czekajcie, aż zbłądzi w obowiązkach służby, w ten czas mu przyganić możecie, ale dopóki to nie nastąpi, macie mu dać spokój, inaczej ze mną będziecie mieli sprawę.“

Po tej perorze rozkazał wszystkim udać się na spoczynek, i gdy to nastąpiło oddalił się. Ernest długo nie mógł usnąć, to podłe prześladowanie raziło go boleśnie, a tęsknota

do Szczepana w takim położeniu odezwała się dotkliwie. Przemogło wreszcie osłabienie, i zasnął. Rano ocknąwszy się uczuł w sobie siłę do rozpoczęcia dnia tak, jak zeszły zakończył. — Tą razą przecież nikt mu zarzutów nie czynił; udawali koledzy, że nań całkiem nie zważają. — Iści się tu ta prawda, że człowiek, który mężnie zasady swjej Religii wyznaje, z czasem i w cierpliwości odnosi zwycięztwo nad tymi, którzy się z niego natrzęsają; owszem zyszcze sobie ich szacunek, jak skoro reszta jego postępków zgadza się z pobożnością. — Pobożniś bez dobrych obyczajów nie dokaże tego! —

Takto szło naszemu bohaterowi początkowo. — Wykonawszy co mu wiara zalecała, pomyślał z równą gorliwością o dopełnieniu obowiązków swego stanu. Oblókł uniformę, ndał się do ćwiczeń; baczny na dawaną mu naukę, pojętny i chętny, takie postępy czynił, że każdego w zadziwienie wprawiał. Zresztą uniforma nadała mu całkiem nową, poważną postać; jego zgrabność, rozum, uprzejmość, grzeczność dla kolegów, zyskały mu wnet wszystkich serca; a starzy

brodacze, przyznawali jednogłośnie, że z Ernesta będzie kiedyś doskonały żołnierz, i kto wie co z niego więcej będzie, bo w tej pstrój uniformie dobosza mieszka duch niepospolity.

Jeżeli Ernesta chwalono z jego ujmujących przymiotów, to tych pochwał stawał się uczestnikiem Francur, a to przez wzgląd, że on tak uzdatnionego młodzieńca zyskał dla swjej kompanii; z tego powodu stawał się z dniem każdym coraz większym dobroczyńcą. — Przecież, czemu by zaledwie uwierzyć można było, miał Ernestowi coś do zarzucenia i żądania aby się poprawił; a tem była Ernesta pobożność. Stary, w obozie wychowany żołnierz, jeszcze z czasów rewolucyi, gdzie było występkiem posiadać wiarę, nie dziw że Francur miał opaczne o poczciwości człowieka wyobrażenie, że pobożność zdała mu się być nie potrzebną dla żołnierza. — Lubo w tym względzie bronił Ernesta przed nagabywaniami kolegów, przecież działało się to nie tak w skutek przekonania o potrzebie modlitwy, jak raczej w skutek litości nad pokrzywdzonym przyjacielem. Sądził on że ten przedawniony, z domowego

wychowania wyphywający zwyczaj, z czasem zginąć musi wśród życia wojskowego; lecz że Ernest stawał statecznie przy swoim, że go nie zdołały ani trudy wojskowe, ani drwinki kolegów od pobożności odwieść; przeto Francur postanowił rozmówić się z nim o tym przedmiocie. — Wyprowadził więc w wolnym czasie Ernesta za obóz i tak do niego mówił:

„Mój przyjacielu! nie żałuję tego iżem ci dopomógł dopiąć twego przedsięwzięcia, i cieszę się mocno z twoich postępów i obyczajów; jedną tylko rzecz przyganić ci muszę, a tą jest, że się modlisz co rano i co wieczór. Po co to? — To nie dla żołnierza! Toć widzisz jak drudzy żyją, i jak się z ciebie jak z raroga wyśmiewają! Zaniechaj tego, proszę cię!“ —

„Jak szanuję i jak kocham Feldwebła, boć mi już wiele dobrego uczyniłeś i jesteś mi prawdziwie ojcem, tak co do zaniechania pobożności posłuchać cię nie mogę, a to z tego najistotniejszego powodu, że każdy człowiek powinien Boga czcić jako Stwórcę wszech rzeczy, jako Dobroczyncę pełnego miłości dla człowieka. — Człtek sam z siebie

jest bardzo niedołążny; łatwo zbłądzi; — łatwo sam siebie przy najlepszych chęciach nieszczęśliwym uczyni; potrzebuje więc wodza i stróża, i to nie pospolitego; — takim może tylko być wszechmocny i najmędrszy Bóg; — proszę go w modlitwie aby dla mnie był takowym, i jestem przekonany, że jeśli, jak mówicie, mam w sobie dobre przymioty, te są tylko darami Boga, modlitwą wyproszonemi. Świadkiem byłeś panie Feldwebłu co ucierpiałem z powodu oddalenia mego od Szczepana, co w czasie podróży, co tu jeszcze ponoszę trudności; a przecież byłeś też i świadkiem, że to wszystko znosiłem dosyć mężnie; a wiesz zkąd mi ta siła i pociecha? Wierz mi, płynie ona z modlitwy! — Wierz mi, kiedy ja Bogu przedstawię moje niedole, kiedy Go z synowskim zaufaniem proszę o pokrzepienie sił, o, natenczas spływanie w mego ducha taka rozkosz, takie zaufanie i pociecha, że nikną obok tego wszystkie dolegliwości. I jaby miał tę tak mi dobroczynną pobożność porzucić? — O, nie! tego nie uczynię nigdy!“ —

Feldwebel który w czasie téj mowy często pomrugiwał oczyma, jak gdyby w nich

coś przydusić zamysłał, a ocierał wąsiska, jak gdyby się pocily, tupnął uderzywszy nogą, jak gdyby się sam na siebie gniewał; jakoś rozczulony, pochwycił mówiącego za rękę, przycisnął ją do serca i wyrzekł: „Erneście! ty mówisz tak pięknie jak kaznodzieja! — To wszystko jest pewnie prawdą, co ty mówisz, ja ci wierzę i czuję to, co ty mówisz. Ale widzisz u żołnierza inna sprawa! — Tu się wszystko wyszczerza.“ —

„Żołnierz, mój kochany Feldwebel, tem więcej być pobożnym powinien, a osobliwie my, gdy nam przyjdzie wkrótce przejść granice hiszpańskie, i być w każdym momencie na śmierć gotowani. — Toć przecie wiesz, że człek nieśmiertelną ma duszę, że ta wyszedłszy z ciała stanie na sąd Boży, aby zdała sprawę z zachowania się w życiu terażniejszym; toć wierzysz, że jest Bóg, a ten musi być sprawiedliwym, wynagradzającym zgodne z Jego wolą uczynki, a karzący występki; będąc więc jako żołnierz wobec nieprzyjaciela, daleko bliższym jesteś tego sądu niż kto inny, przeto też daleko więcej pobożnym być ci należy. — A że się z pobo-

żności wyśmiewają, to robi głupota, lekko-myślność, czyż zważać na to, odstręczać się od dobrego, i brać to sobie za regułę życia należy?“ —

„Nie, nie, — masz słuszność! To wszystko, co ty mówił, trafia mi do serca; bądź pewnym, że gdybym jeszcze zastał śmiejących się z twój pobożności, lepiej jeszcze ich zgromię jak w ów czas! — O, jabym im to wszystko jeszcze dobitniej jak ty powiedział. — Prawda! żołnierz musi mieć Boga po sobie, żeby mu jego trudy tu znośniejsze były, a po tem żeby po śmierci nie cierpiał, bo tam się pałaszem nie obroni!“ —

„Ale teraz trzeba nam na mustrę. — Żeby to wszyscy tak pojętni byli jak ty, nie byłoby z nimi biedy; ale to wszystko niezgrabny od pługa, caluteńki dzień męczyć się z nimi trzeba, aż w gardle zaschnie od krzyku. — Z tobą będzie lżej; — ale ja ciebie sam uczyć będę; — zobaczysz jak ja ci wszystko gruntownie, a łatwo objaśnię. O, zrobię z ciebie żołnierza na słowo! a ty wykształcony doskonale niechybną zrobisz karierę!“

Było to wszystko wielkiem pokrzepieniem ducha Ernesta; ale on też w istocie był ta-

kim, że go oficerowie nawet innym żołnierzom za wzór przedstawiali.

To czynne życie Ernesta, chroniło go od nudów; godziny płynęły w zatrudnieniach, jak woda; a przecież wspominał sobie nieraz swego Szczepana, choć to był jego najmilszy przyjaciel, on mu jako sierocie stał za rodziców. Osobliwie pamiętał o nim, gdy pobierał żołd; trzeba było widzieć z jaką on to rozkoszą odkładał pieniądze, które oszczędzał, sobie ujmując, i jak je zawieszował w róg chustki, żeby coś uciuławszy, mógł posłać Szczepanowi! — Po kilku tygodniach oszczędził trzy franki (24 sgr.) Nie wielkać to prawda suma w oczach człowieka w dostatkach wychowanego, który nie doznał biedy i nie jest zdolny ocenić jak i najmniejsze wsparcie dane potrzebującemu jest błogie. Lecz Ernest, ten biedny podrzutek, który od piątego roku życia swego utrzymywał się łaską tych, co go wychowali, który widział jak ci sami biedni dzielili się przecież z nim kawałkiem chleba, który przeto znał biedę i wiedział, jakto ciężko przychodzi zarobić na utrzymanie; wiedział też jak to wsparcia w biedzie są miłe, przeto

był przekonany, że i małym datkiem pocieszy swoich dobroczyńców.

Zaledwie rekruci wyćwiczeni byli w rozbiciu bronią, gdy już przeznaczone pułki do Hiszpanii wyszły; dostał i pułk Ernesta rozkaz wyjścia za innemi. Ernest jakkolwiek przygotowany na wszystko, przecież uczuł żal, mając opuszczać kraj, w którym się wychował, i który sądził być swoją ojczyzną. Nie dziw, to leży w naturze człowieka mającego szlachetniejsze uczucie; tylko człowiekowi bez serca może być obojętna, gdzie żyje. Nie on sam nawet rozczulił się mając opuszczać ojczyznę: dzieliło wielu z nim ten smutek, zwłaszcza że wiedzieli, co ich oczekuje: wiedzieli jak wielce oburzeni są hiszpanie na francuzów najeżdżających ich ojczyznę, a to pod obłudną maską uszczęśliwienia ich; przeczuwali poczęści, jakich dumny i mężny ten naród użyje środków, ażeby zrzucić z siebie jarzmo najeźdźców. Takie przekonanie osłabiło ducha wielu francuzów, a przecież narzędzia, zwycięstw z narowionego Cesarza, musieli iść na śmierć i wystawiać życie na zasadzki, zdrady, zatrute kule i okrutne morderstwa, choć

kochali wolność, choć w głębi serca nie jeden litował się nad tymi, których mu za nieprzyjaciół uważać kazano.

I Ernesta dręczyły takowe smutne myśli, wszakże uważał, iż do niego nie należało rozprawiać i sądzić o godziwości téj wojny, lecz być posłusznym powołaniu swemu; nikt tego nie mógł wyczytać, co czuł jego duch. Usprawiedliwić może takowe smutne dumania i ta wielka różnica, jaką znaleźli wkroczywszy do Hiszpanii, porównawszy jéj okolice z spokojną okolicą Francyi, którą dopiero co opuścili. W rzeczy saméj, jeżeli uderzającą jest różnica między graniczącymi z sobą prowincjami Francyi i Hiszpanii, co do obyczajów, sposobu życia, języka, nawet samego charakteru okolic dla każdego podróżującego: jakże nie miały te okoliczności wywrzeć wpływu na wkraczających nieprzyjawnie w te okolice francuzów, gdy spostrzegli ludzi cychających na zemstę i zagrażających im śmiercią?

Biskajczykowie łączą z miłością wolności, silną wolę, męstwo, wstrzeźliwość, narodowy przemysł, który jak był od ich wła-

nych rządzców szczególnemi przywilejami opatrzony, tak teraz z przyjściem francuzów szedł w poniewierkę. Tak więc, zagrożeni ci ludzie w swéj narodowości i w swym przemyśle, tem więcej Napoleona i wojsko jego nienawidzili, im więcej go kiedyś porządną wolność wprowadzającego podziwiali, a im mniej zgadzało się z temi nadziejami obecne jego postępowanie. Ze wszech stron rozległ się odgłos powstania, i wnet cały naród stanął pod bronią, a najpierwszymi byli ci, którzy najbliżej mieli swych ciemńców. Wysokie góry, strome skały, głębokie wąwozy, przepaściami otoczone drogi—wszystko to ułatwiało powstanie, któremu przewodniczył dzielny Mina wraz z swym siostrzeńcem. Obydwaj znali doskonale swój kraj, i umieli korzystać z téj znajomości przeciw nieprzyjaciółom będącym w obcych, a przeto nie należycie znanych sobie okolicach. Bywało przeto, że zanim się francuzi spostrzegli, z gór lub krzaków przez ukrytych hiszpanów parzeni, dużo na siłach osłabieni przychodzili do miejsc swego przeznaczenia. Prócz takowych niebezpieczeństw, nie rzadko im zbywało na żywności, bo Mina umiał zrę-

cznemi obrotami dowozom żywności przeskadzać i one niszczyć.

Zaraz po przekroczeniu granicy ocenili należycie Pułkownik G... utrudzenia, jakich doświadczać trzeba będzie w dalszym pochodzie, i wnet się takowe znalazły, gdy znachodził po drodze sioła puste i żywność odciętą. — Po kilkodniowym marszu stanął we wsi, która obiecywała swobodny odpoczynek, dla znurzonego niewygodami żołnierza; a przecież i tu czychało niebezpieczeństwo. Mniej bacny możeby się z tego był cieszył, że mieszkańcy pokazywali dobrą chęć dla francuzów, ofiarowali im domy swe na spoczynek, żywności nie skąpili; lecz nasz roztropny Pułkownik czerpał z tej dotąd niedoświadczonej gościnności podejrzenie. Część tylko żołnierzy rozstawił po domach, reszta musiała stać wśród wsi pod gołym niebem; porozstawiał przy tem znaczne straże, i jak zobaczymy, wyszła ta ostrożność na dobre.

Ernest nierozzerwany towarzysz feldwebela, dostał się na kwaterę do domu pewnego, którego gospodarz i gospodyni pomimo grzeczności, zaufania jego posieść nie mogli.

Udawał, że nie rozumie po hiszpańsku, a to dla tego, żeby podejść mających może jakie nieprzyjacielskie zamiary; i gdy feldwebel zawsze oględny z wolna tylko grzeczności i naleganiom gospodarza był w napoju powolnym, Ernest był bardzo umiarkowanym w użyciu pokarmu, nie posmakowawszy nawet wina, choć i feldwebel i gospodarz namawiał. Ta grzeczność o ile Feldwebła zobowiązywała, o tyle Ernesta tém więcej uderzała, że mu się zdawało, jakoby ich gospodarze dawali sobie mruganiem oznaki zadowolenienia, choć byli dość ostrożni aby się wydać z czemsiś podejrzanem.

Wyznaczono im nocny spoczynek w małej izbie pod dachem, do której po drabinie wniść trzeba było. Feldwebel dobrze podpiły, skoro legł na postłaniu zaraz też i usnął, gdy tymczasem Ernest ostrożny, siadł w zamiarze czuwania, bo postępowanie gospodarzy niepokoilo go. Po niejakić chwili usłyszał rozmawiających w dolnej izbie; żeby dobrze zrozumieć, przyłożył ucho do drzwi przedzielających oba mieszkania, i usłyszał następującą rozmowę:

„Ja się boję mój kochany. — Ich tu bę-

dzie do tysiąca, a naszych jak mówisz dwieście tylko, i cóż ta garstka zrobi?”

„Bredzisz! — Na naszej stronie są sprzyjające okoliczności, noc, znajomość okolicy, niespodziana napaść; — to wszystko zdolne naszą siłę w czwórnasób pomnożyć. Dodaj do tego, że każdy gbur swojego śpiocha weźmie pod nóż, i bądź pewną, że nam się uda!” —

„A warty nie narobią hałasu?”

„I o tem się pomyślało. Dostali jeść i pić tak suto jak ci, co na górze leżą. — Nie nudź — podaj lepiej broń, że wyruszę uwiadomić naszych. W pół godziny wrócimy!”

Po czem wyszli oboje z domu furtką której Ernest dawniej nie zauważał.

„Panie Feldwebel wstaj spiesznie! — Jesteśmy zdradzeni” — wołał Ernest na Francura, mocno go szamocąc, który mrużąc żądał spokoju.

Raz jeszcze powtórzył budzenie dodając: że skoro natychmiast nie roztrzeźwi się może być zabitym, bez możliwości bronienia się. — Podniósł drzwi, ażeby zejść i dać znać Pułkownikowi o podstępie, lecz drabka była odjęta, zejść nie było podobno, bez wysta-

wienia się na jaki niebezpieczny szwank. Cóż tu robić? Tracić czasu nie można! — Chwyta więc za stojący w kącie swój bęben, przybliży się do okna i nuż bić na trwogę tak silnie, że wnet żołnierze pobudzili się i poczęli zgromadzać a nawet i Feldwebel ze snu zupełnie wytrzeźwia!

„Zkąd sygnał dany?” krzyknął Pułkownik wpadłszy między zgromadzonych żołnierzy.

„Z tamtej oto chałupy na końcu wsi.”

W tym momencie zebrano się kilku żołnierzy przy owej chałupie i silnymi uderzeniami wybili drzwi sienne robiąc otwór swym zamkniętym kolegom; gdy Feldwebel silnym głosem wołał: „Drabkę podajcie! — Oto nas tu jak w łapce zamknęto!”

Co gdy nastąpiło, stanęli przed Pułkownikiem, który Ernesta groźnym zapytał głosem: „kto ci rozkazał dać sygnał alarmu?”

„Panie Pułkowniku! ja nie miałem żadnego rozkazu. Lecz że powinienem był p. Pułkownika uwiadomić: iż w półgodziny będziemy przez nieprzyjaciela zdradziecko zaczepieni, a zamknięty w chałupie nie widziałem innego sposobu, przeto wziąłem się do hębna!”

„Zkąd wiesz, że mamy być napadnięci?“

„Panie Pułkowniku! ja umiem po hiszpańsku i podstuchiłem spiskowych, od których się wszystkiego dowiedziałem.“

„Kto jest ten którego podstuchił?“

„Oto właściciele tego domu, w którym mi wraz z Feldweblem przypadła kwatery, ci mówili między sobą: że dwieście Gerylassów ma za pół godziny na nas z nienacka napaść, i opuścili chatę, żeby ich za półgona nas naprowadzić.“

Pułkownik nie wątpił o rzeczywistości niebezpieczeństwa, przedsięwziął zaradne środki, a tak nieprzyjaciel, — który mimo słyszanego pewnie alarmu, śmiało na francuzów natrzeć — został dzielnie przyjęty i ratował się ucieczką w góry.

Po skończonej rozprawie, gdy się pułk zebrał, ze świtem opuścił wieś. Odszedłszy znaczny kawał za wieś, kazał Pułkownik stanąć pułkowi i wywoławszy dobozsa przed front tak przemówił do niego:

„Młody człowieku, dzisiejszej nocy działałeś bez rozkazu przełożonych. W innym razie godzinę byś był kary za przekroczenie porządku; lecz że tą razą byłeś w takim

położeniu, iż nie mógł zachować porządku, gdzie szło o ocalenie pułku, przeto w nagrodę twój roztropności, gorliwości i odwagi, mianuję cię kapralem-doboszem.“

„Niech żyje Pułkownik! Niech żyje kapral-dobosz!“ krzyknął cały pułk; a Frankur wysunawszy się z szeregu, uściskał swego malca i radośnie zawołał:

„Panie Pułkowniku! pozwól: że mu przypnę pierwsze honorowe odznaki! Ja się spodziewam, że i szlify nie zadługo się znajdą! Postępujno zawsze tak gracko!“

Można się domyśleć, jakie ta scena uczyniła wrażenie na Ernście, gdy na czele pułku odebrał nagrodę; — gdy koledzy — którzy nie dawno urągali się z niego jako z pobożnisia — teraz przeciwnie wykrzyknęli mu radośne zadowolenie. Tak go to rozczyliło, że nie umiał w pierwszym momencie wynurzyć swęj wdzięczności. Samo milczenie jego było dosyć wymownem dla Pułkownika, który zaraz za pierwszym ujrzeniem go pojął szlachetne uczucia Ernesta, i cieszył się, że znalazł sposobność dania mu dowodu swęj przychylności.

ROZDZIAŁ IV.

W Hiszpanii.

Po tym dla Ernesta Malwan tak miłym wypadku ruszył pułk dalej w pochód, a że szedł okiem nieprzejrzaną płaszczyzną, postępował swobodnie nie widząc sposobności do zasadzek, jakie dotąd w wąwozach, zarosłach i górach służyły Gerylassom. Powietrze i słońce Hiszpanii rozwinęło całą swą wspinałość, uprzyjemniało nadobny kobierzec złożony z najwyborniejszych kwiatów, które jak oko wdziękiem swych kolorów bawiły, tak upajały zmysły swym cudnym zapachem. Daleko z za widnokregu wyglądające drzewa oliwne i dęby swym ciemnym kolorem liści, stanowiły właśnie ramy tego nadobnego obrazu. — Gdy Ernest w to wszy-

stko chciwie się wpatrywał, znachodziło go jakieś zadziwienie, jakieś wspomnienie z lat jego dziecinnych; każdy kwiatek, każde drzewo zdawało mu się być znajomym. Tkliwe jakieś opanowało go wzruszenie. — „Cóż to jest? — mówił sam do siebie. — Cieszyć się powinienem tak piękną okolicą bawiony, a przecież ona tworzy we mnie jakieś tęskne wspomnienia. — Tu oto zdaje mi się zrywałem już kiedyś te piękne kwiaty z rozkoszą dziecięcia bez trosków; — tam pod krzakiem znużony bieganiami spoczywałem miłym snem ukołysany; zdaje mi się, że widzę jeszcze postaci Pepyty i Ernanege! — Tamte skały; o i one nie są mi nowe! z pomiędzy nich wyjeżdżaliśmy w te oto miejsca. Ach, jabym się założył, że przy owym drzewie zsadzała mię Pepyta z wozą! — Mój Boże! czyby to był sen, lub przywidzenie! — Czybym ja na tych miejscach kiedyś rzeczywiście przebywał! — Ale w takim razie Hiszpanja byłaby moją ojczyzną, a jabym walczył przeciw moim rodakom! — Okropnie! — Lecz nie! ja jestem francuzem, to powiada mi moja miłość, że należę do tej ojczyzny, która jest razem ojczyzną Szczepana!“

Tymczasem pułk przeszedłszy dolinę, stanął nad wąwozem, nad którym sterczały skały, otoczonym z obu stron gęstemi krzewami; ten trzeba było przebyć, i należało się spodziewać napaści. Pułkownik kazał broń przygotować, nabić, dać dalsze rozkazy, i ruszyli naprzód. Zaledwo upłynęło ćwierć godziny, aż tu rozwija się przed oczami okropna scena! — Przed krótkim czasem musiała tu zajść mordercza bitwa: droga zasłana okrutnie posiekanymi trupami; z uniformów widać, że polegli byli francuzami. Na ten widok stanął pułk jak wryty przestachem; lecz wkrótce począł okropnie złorzeczyć zdradliwym mordercom i odgrażać im zemstą. — Żądali żołnierze, aby im Pułkownik pozwolił pogrześć swych braci; lecz on jako roztropny dowódca, odmówił im tej uczynności, zapewniając, że tu w tem zdradliwem miejscu bawić nie wypada bez narażenia siebie na podobneż morderstwa. Jakoż niebawem strzały nieprzyjacielskie potwierdziły jego zdanie, i ostrzegły o bliskości nieprzyjaciela. Tu już nic nie zdołało wstrzymać zapału, zemstą tchnących francuzów; rzucili się z odwagą na nieprzyjaciół, ubili ich znaczną liczbę

i usunęli przeszkodę tamującą im dalszy pochód.

Lecz i z ich strony padło kilkunastu; nawet sam Pułkownik był w wielkiem niebezpieczeństwie. Otoczyli go Biskajczykowie i bliski był zguby. Gdy to spostrzegł Ernest, dał natychmiast znać Feldweblowi, i z nim otoczonym kilku żołnierzami, odbili Pułkownika. Ta przytomność Ernesta, przyłożyła się znakomicie do zwycięstwa, o ile że uratowała dowódcę.

„Dziękuję wam! — rzekł oswobodzony Pułkownik — i nie zapomnę wam nigdy iżście mię z takim męstwem bronili!“

Obróciwszy zaś mowę do Ernesta dodał: „Początki twego zawodu, mój kochany Malwan, naznaczyłeś świetnymi czynami, pokazującemi twoje szlachetne serce! — Postępuj na tej drodze dalej i bądź pewnym przyjaźni twego Pułkownika!“

„Dziękuję serdecznie mój wodzu! za to, że ośmielasz mię w moich początkach! Będę się usilnie starał być godnym twoich względów!“

Pełen radości oddalił się od Pułkownika, i pospieszył z pomocą do rannych, których

ten napad nieprzyjacielski uszkodził, gdzie było potrzeba usłużył, a gdzie nie mógł inaczej to słowami pociechy pokrzepiał raniomych. — Idąc za ich wozami myślał sobie: „Mój Boże! jakże też to upadła nas ludzi, stworzenia rozumem obdarzone, mając jeden i tenże sam początek i cel życia, że się jak nierozumne bestje napadamy; gdy tymczasem moglibyśmy w zgodzie i jedności swobodnie używać darów Bożych!“ —

Po przykrym całodniowym marszu przyszedł pułk do jednej, na oko przynajmniej sprzyjającej francuzom miejsciny, gdzie chorzy należycie zaopatrzeni zostali, a i wojsko mogło bezpiecznie zanocować. — Na drugi dzień ruszono dalej z niepłonną obawą i ostrożnością, przez przymilające się oczom niwy, natrafiając co doba na oznaki okrucieństw, jakie rozdrażniona zemsta hiszpanów wywierała na pojedynczo lub w małych oddziałach idących francuzach.

Wśród tych niebezpieczeństw i okropności był Ernest zawsze spokojnym. Nie przystępny żadnej hojności, znosił przykrości marszu i niedostatku z takim mężstwem, że to i starzy podziwiali żołnierze. Zdawało się

że szlachetna ofiara, którą ponosił dla przyjaźni, pomnażała w nim podniosłość ducha i wzmacniała siły ciała.

Mniej jak jego koledzy rozdrażniony był na hiszpanów, bo religijne jego przekonanie wskazywało mu w nich ludzi, których miłować powinien: przeto obchodził się z nimi łagodnie. A że widział ich pokrzywdzenie i tem obudzoną w nich nienawiść; że był świadkiem, jak rozwiązało żołdactwo dokuczało i niewinnym dla zysku osobistego, przeto ile mógł zapobiegał okrucieństwu, a sam wolał głodu przymarzeć, niż wydrzeć kawałek chleba biednemu. Zaraz tego pięknego przykład spostrzeżemy.

Pewnego wieczora wskazał jemu, feldweblowi i dwom żołnierzom dany bilet dom porządny na nocną leżę. — Ten zamieszkiwała jakaś sędziwa kobieta i jej syn. Kobieta przyjęła gości na pozór spokojnie, lecz syn opierał się dosyć groźnie przyjęciu żołnierzy; mówił językiem francuzkim i dosyć obraźliwie wysłowił się przeciw przybyłym. — Ernest pośredniczył między kłócącymi się, lecz gdy hiszpan nie powściągał swej gadatliwości, dobyli równie żołnierze

jak i sam feldwebel pałaszów, i gdy się właśnie rzucił chcieli na hiszpana zawołał Ernest:

„Nie! tak lichymi żołnierzami być nie powinniście, żebyście wszyscy trzej rzucali się na jednego i to jeszcze bezbronnego. Fe! tak francuz sobie nie postępuje!“

„I cóż, kiedy on tego żąda? — To jest nasz nieprzyjaciel, gdyby był silniejszy, nie szczydziłby nas! — Dalej na niego, będzie jeden mnie!“

„Ja wam zakazuję ruszyć tego człowieka! mam po temu prawo!“ i wskazał na odznaki kaprała.

„A czy i mnie zakażesz?“ — odezwał się Feldwebel. — Zresztą nie nudź mię twemi skrupułami. Odstąp na stronę, żebyś się i ty nie pożywił, gdy tego durnia uczęstuje!“

Jeżelić Feldwebel chcesz rozlewu krwi, otóż zabij mnie!“ — odrzekł Ernest zastawiając sobą hiszpana.

Podczas tych sporów, chcąc rzecz załagodzić postawiła matka na stole pieczeń, chleb i kilka dzbanków wina, zapraszając żołnierzy do jedzenia. Ci że byli głodnymi, opuścili hiszpana a rzucili się na pieczeń.

„Siadajmy do stołu! — Tego haraburdę możemy i potem posiekać!“

„Czegóż ty stoisz jak kołek wśród izby? Siadaj i jedz, gdy nam przecież jeść dano.“

„Wybacz Feldweblu! nie siądę wprzód, aż mi jedną rzecz na honor żołnierza przyrzeczysz!“

„A cóż to takiego?“

„Oto temu człowiekowi darować, i nie czynić mu żadnej krzywdy. Wszakże on jest bezbronny; — ma oto starą pocziwą matkę, która pewnie całą nadzieję swego utrzymania w nim pokłada. — To też p. Feldwebel niech weźmie na uwagę, że gdyby do twego domu weszli nieprzyjaciele, pewniebyś ich z radością nie przyjął, a może jeszcze burzliwiej byś się stawiał jak on.“

Na to przedstawienie złożył Frankur pałasz w pochew i dodał: „No! siadaj i jedz.“

Ernest siadł i jadł. Po jedzeniu rozgrzani winem żołnierze chcieli rozpocząć z hiszpanem; lecz Feldwebel nakazał spokojność, i poszedł na spoczynek.

Nic niema słodszeo dla serca szlachetnego, jak wspomnienie, że popełniło dobry uczynek. Z téj przyczyny spał Ernest swo-

bodnie, bawiły go sny o Szczepanie, o jego trzodzie, o wesołości życia wiejskiego, zgoła przynajmniej we śnie był zupełnie szczęśliwym; — bo na jawie trzeba było wiele przykrości ponosić. — Takie to w istocie jest życie człowieka, — ciągłą jest walką; — lecz duch Bogu oddany używa zadowolenia, którego żadne burze i nieszczęścia zamięszać nie zdołają. I to właśnie pocieszyło Ernesta, gdy z ocknieniem się spelzły miłe obrazy, a stanęła przed nim smutna rzeczywistość! — Jeszcze jego towarzysze spali, gdy on cicho wstał i dobywszy krucyfiks ukląkł i modlił się gorąco. — Właśnie gdy kończył modlitwę postłyszał szelest, obejrzał się i spostrzegł gospodarza, który mu dał znak, aby szedł za nim. Ernest powstał i szedł. Zeszli obydwoj do dolnej izby, gdzie hiszpan w te do niego odezwał się słowa:

„Zdaje mi się, iż wnet pociągniecie dalej, a ja nie chcę się rozstać z tobą, dzielny młodzieńcze bez podziękowania ci za przysługę, którąś mi wczoraj wyświadczył. Wiedz, że ją umiem ocenić!” — A podając mu garść złota dodał: „weźm, to jest dar mej matki tobie ofiarowany!”

„Dziękuję jej i tobie!” — odrzekł Ernest z powagą odpychając złoto. — „Jeślim ci uczynił przysługę, o której wspominasz, wynagrodziło mię sowicie moje sumienie; inną jak ta nagrody nie przyjmuję.”

„Bardzo proszę, przyjmij to!”

„Nie przymuszaj mię, żebym cię obrażonego nie porzucił...”

„Szlachetny młodzieńcze! — ty jesteś godzien być hiszpanem! żyj szczęśliwym, a niech to Bóg zrządzi, żebym na polu bitwy nie musiał walczyć przeciw tobie; bo zresztą wszędzie i zawsze będzie pamiętał Alfonso, że jest twym dłużnikiem.”

Uściskał serdecznie Ernesta, wskazał na stół śniadaniem zastawiony, westchnął i odszedł. —

Ernest zaprosił kolegów do śniadania, którzy dziwili się jego wesołej gościnności; ale Feldwebel był jakoś smętny, czuł on bowiem, że wczoraj wieczorem za daleko się posunął. Był to dobry wprawdzie żołnierz, ale obozowe zwyczaje przytłumiły nieco dobroć jego serca. — A żeby tę wzbudzić nie trzeba było wielkich rzeczy; wnet ze lwa

stawiał się łagodnym barankiem, a po opłonienu wchodził na tór sobie właściwy i żałował błędu. — Takie charaktery nie są rzadkie między ludźmi, których wychowanie nie było dosyć gruntowne, a którzy posiadają naturalną dobroć serca. — Łatwo ich namiętności wezmą górę nad dobrocią, i przytłumić ją zdołają; lecz łagodne napomnienie, nawet dobry przykład, — oznaki szacunku lub zaufania wnet ich rozbrajają, bo wzbudzają śpiące szlachetne przymioty serca. — Przecież aby tę delikatną strunę poruszyć, iżby wydała dźwięk miły, trzeba bardzo zgrabnej ręki, inna mogłaby ją zerwać. Ernest miałci wprawdzie za mało w tym względzie doświadczenia, ale rozumne rady i nauki jego dawnego proboszcza ks. Bonnewal, tego pobożnego i światłego nauczyciela, podały mu bardzo trafne sposoby rzetelnego ocenienia ludzi i zajść. Zgadł przeto łatwo, co się działo w myśli zasmuconego Feldwebla, lecz daleki od tego, żeby się ze swą wydać wiadomością, unikał naruszać wczorajszej sceny. W marszu dopiero idąc społem jak zwykle wszczął Frankur następującą z Ernestem rozmowę:

„Jeszcześmy z sobą dziś nic nie mówili. Przyznaj, że nie jesteś z mego wczorajszego postępuku zadowolniony. — He! — Wy młokosy zwykliście być ostrzy w waszych sądach o starych, i ty mię może za wczorajsze potępiasz?“

„O mój Feldweblu! Jakże to źle o mnie myślisz! — Dałeś mi już zanadto wiele dowodów dobroci twego serca, żebym miał o tobie źle myśleć.“

„Pięknie i dobrze myślisz! Ale powiedźże mi, coś w ten czas o mnie sądził, gdy Biskajczyka chciał posiekać?“

„Sądziłem że go nie posiekasz, bo go zasłaniał swą piersią twój ulubieniec.“

„A gdybym ja uporczywiej na niego nastawał, tobyś ty pewnie powstał przeciwko mnie; jemu stanął w pomoc i walczył przeciw nam?“

O nie! Człowiek ten miał oczewistą niesłuszność, o tyle, że nas obelżywie ze swego domu wypraszał; ale że był bezbronnym, powinienem go być zasłaniać przed nastawającym nań z bronią w rękę.“

„Więc byłbyś na twoich kolegów uderzył?“

„Nie! dałbym się zań zabić.“

„A wszakci on jest nasz i twój nieprzyjaciół?“

„W tym przypadku nie był ani przyjacielem ani nieprzyjacielem, lecz człowiekiem, który potrzebował mój pomocy.“

„Nas zaś uważałeś za zabójców jego.“

„Bynajmniej; ja was uważałem tylko za ludzi rozniewianych, którzy mogliby byli gniew swój za daleko posunąć. A potem muszę przyznać, mój kochany Feldweblu, że byłem dużo zakłopotanym, widząc że Frankur był bliskim popełnienia takiej czynności, którejby był wnet mocno żałował, zwłaszcza gdyby się już nie dała cofnąć. — Bo to jest pewna, i to Feldwebel przyzna: iż chociaż przeciw hiszpanom wojujemy, nie nasza rzecz jest stanować, po której stronie sprawiedliwość i słuszność, a przeto należy nam być dalekimi od okrucieństwa przeciw nim; w bitwie gdy staniemy z nieprzyjacielem oko w oko, tam co innego, tam trzeba przeciwnika uważać jako nieprzyjaciół.“

„Masz słuszność! — a ja muszę przyznać, że wczoraj nie słusznie postępowałem, i dziękuję ci, żeś zapobiegł złemu,

które wykonane byłoby mię dziś, jak słusznie uważasz, dużo martwiło. — Im ja cię więcej słucham, tém cię więcej muszę podziwiać, z kąd w twoim wieku tak rozumne masz zdanie!“ —

„Takiego, jak powiadasz, rozumnego zapatrywania się na rzeczy, nie mam ja ze siebie; to jest owoc nauki Religii, którą odebrałem od mego szanownego proboszcza. On kształcił moje serce i nauczył mię obowiązków jakie św. Religia wkłada na chrześcijanina; — nad temi naukami rozmyślałem z moim kochanym Szczepanem, aby je głębiej wpoić w ducha, teraz też służą mi za reguły moich postępów. A jeśli czasem zajdzie mię jaka wątpliwość, westchnę sobie do Ducha św., a wnet wiem, co mi czynić należy. — Taka oto jest sprężyna moich postępów i zdań, którą Feldwebel nazywasz mądrością; nie moją ona jest, lecz Boską mądrością, a przychodzi mi przez naukę ś. Religii!“

Takto rozmawiali sobie ci dwaj dobrzy ludzie w czasie pochodu; że z tych rozmów Frankur korzystał, wnet się to pokazało w jego postępowaniu. — Wiadomo z poprzedniego, że lubił czasami pociągnąć nad miarę;

zagrzaną mając trunkiem głowę, dopuszczał się wybryków, jakie mu zjednały ostre przygany przełożonych. — Ernest przy tejże sposobności uważnym go na to czynił, jak upadła człowieka opilstwo; a gdy mu się raz zwierzył Feldwebel, jakie nieprzyjemności miał z powodu tego, że pod czupryną, jak mówił, było za wiele, odrzekł mu Ernest w sposób następujący:

„Pozwól kochany Feldweblu, że ci opowiem, co mój nauczyciel mawiał o tój przywarze: Człowiek, mawiał on, który ulega tój namiętności, nie tylko się zrzeka najpiękniejszego daru nieba, jakim jest rozum, boć go się zupełnie pozbawia, gdy się upoi, i jak bezrozumny upadła się aż do klasy zwierząt; — lecz co więcej jeszcze, wystawia zarazem swoje dobre imię, pomyślność, majątek, szczęście, zdrowie, ba nawet i życie, a z niem wieczną szczęśliwość na niebezpieczeństwo. — Człowiek który ceni siebie samego, — a cenić się powinien, bo jest dziełem Boga, nosi jego obraz na duszy, — przeznaczonym jest do nieśmiertelności, — odkupionym przez Jezusa Chrystusa; — człowiek, który siebie ceni, powstrzyma się od

zbytków plamiących jego charakter i upadających jego tak wysoką godność; a niewstrzeźliwość pozostawi ludziom, którzy za miarki mają rozum, żeby pojęli godność człowieka, i poznali do jakiego stopnia cnoty wznieść się może, gdy przeznaczenia swego nie spuści z oka. — A wszakci już wstrzeźliwość sama z siebie jest zalety godną: utrzymuje ona zdrowie i siłę ducha, — chroni nas przed tylu niedołężnościami i nieszczęściami, jakie sprowadza niewstrzeźliwość. — Doprawdy; kto chce być już na tym świecie, ile tu być można, szczęśliwym, powinien drogą wstrzeźliwości postępować, bo bez niej nie można być trwale spokojnym i szczęśliwym.“

„Tak mawiał mój nauczyciel o wstrzeźliwości, a takowe jego mowy tyle na mnie uczyniły wrażenia, że o nich nigdy nie zapomnę, zwłaszcza gdy widzę, jak je potwierdzają niewstrzeźliwi.“

„Dziękuję ci za te nauki powiedział Feldwebel, i bądź pewnym, że z nich będą korzyść. Daję ci słowo że odtąd innym będę, bo sam widzę, jak to źle gdy się człowiek zaleje; dopuszcza się takich rzeczy, za które

po trzeźwemu wstydić się musi! Nie! —
odtąd miarką, nie nad potrzebę!“ —

Przyrzeczenia dotrzymał rzeczywiście
Frankur, bo odtąd zawsze trzeźwy zyskał
sobie szacunek zwierzchności, która ten
tylko błąd dawniej zarzucić mu mogła.

ROZDZIAŁ V.

Na grobie rodziców.

W końcu przyszedł pułk, w którym Ernest
służył, w powabne doliny miasta Wittorya;
miasto to przeznaczone mu było na garnizon,
a przeto żołnierz, wiedząc że cel jego marszu
bliski, gdzie ma po trudach podruży i nie-
bezpieczeństwach przewycięzonych w kraju
nieprzyjacielskim odpocząć, przyspieszał
wesoło kroku swego.

Dla Ernesta, który dotąd przechodził wieś
i miasteczko Hiszpanii, była stolica prowincyi
Alawa, zajmująca; przebiegał jej ulice z cie-
kawością wiekowi swemu właściwą; roz-
szerzał dalej swe wycieczki w ulice miasta,
o ile mu służba nie przeszkadzała; a ta tu
właśnie nie była trudną. Po kilku bowiem
dniach bytności w Wittoryi, obrał sobie Puł-

kownik Ernesta swym sekretarzem, przez co i położenie jego nierównie co do żołądka i znaczenia polepszył, i zwolniwszy go od czynności prostego dobosza, podał mu sposobność, że mógł zadowolnić swą skłonność do zielnictwa. — Przypomni sobie czytelnik, że mieszkając jeszcze ze Szczepanem, trudnił się zbieraniem ziół do aptek wraz z swym przyjacielem, przez co nagradzał ile możliwości nakład nań czyniony; że zaś do tego oddziału wiadomości miał szczególny talent i wielką skłonność, przeto kształcąc ducha jego ks. Bonnewal, nie pominął i tej gałęzi: a tak Ernest stał się biegłym botanikiem. A że w okolicach Wittoryi w których natura cuda swe chojnie rozwinęła, znalazł wielkie pole do zadowolenia swego upodobania, przeto ułatwiwszy się z piśmiennictwem, wychodził na pola, zbierał rośliny, nie pamiętając na to, że może wpaść w ręce Gerylasów, którzy śmiało swe podjazdy, aż w pobliże miasta zapuszczali.

Pewnego dnia spostrzegłszy, że się zapuścił w pola dalej jak zwykle, zwrócił ku miastu swe kroki, i aby prędzej zbliżyć się do niego, puścił się ścieszką, którą zdawało

się że prędzej dojdzie swego celu. Po niejakiem czasie pochodu spostrzegł, że ta ścieżka doprowadza go do cmentarza okrytego wspaniałymi pomnikami, obok których znajdowały się tu i owdzie nadpsute krzyże. Takie osady śmiertelników, zarody przyszłego zmartwychwstania, mają w sobie coś posępnego, osobliwie dla dusz tkliwych, i trudno jest pojąć, jak ludzie na widok takowych mogą być zimnymi i obojętnymi. Miejsce to cichym smutkiem swym tak wymowne, wzruszyło uczucie Ernesta; wstąpił na nie, a odmówiwszy klęcząc modlitwę za umarłych, począł chodzić, przypatrywać się nagrobkom i czytać ich napisy. — Jak smutnem jest to miejsce! mówił do siebie, ale do jak wielkich myśli podaję materję! — Tu to niknie wszelkie omamienie, a wykazuje się prawda. Nigdzie lepiej nie widać nikczemności rzeczy doczesnych, owych pozornych różnic człowieka, jak tu, bo oto tu obok możnego, spoczywa biedak, którego całe życie było łańcuchem nieszczęść i smutków, — i jeżeli ich nagrobek różni, to nagrobki są tylko szczątkami dumy ludzkiej, pod nagrobkiem jednakowa znikomość! — Ale cóż to za kamień

kownik Ernesta swym sekretarzem, przez co i położenie jego nierównie co do żołądka i znaczenia polepszył, i zwolniwszy go od czynności prostego dobosza, podał mu sposobność, że mógł zadowolnić swą skłonność do zielnictwa. — Przypomni sobie czytelnik, że mieszkając jeszcze ze Szczepanem, trudnił się zbieraniem ziół do aptek wraz z swym przyjacielem, przez co nagradzał ile możności nakład nań czyniony; że zaś do tego oddziału wiadomości miał szczególny talent i wielką skłonność, przeto kształcąc ducha jego ks. Bonnewal, nie pominął i tej gałęzi: a tak Ernest stał się biegłym botanikiem. A że w okolicach Wittoryi w których natura cuda swe chojnie rozwinęła, znalazł wielkie pole do zadowolenia swego upodobania, przeto ułatwiwszy się z piśmiennictwem, wychodził na pola, zbierał rośliny, nie pamiętając na to, że może wpaść w ręce Gerylasów, którzy śmiałe swe podjazdy, aż w pobliże miasta zapuszczali.

Pewnego dnia spostrzegłszy, że się zapuścił w pola dalej jak zwykle, zwrócił ku miastu swe kroki, i aby prędzej zbliżyć się do niego, puścił się ścieszką, którą zdawało

się że prędzej dojdzie swego celu. Po niejakiem czasie pochodu spostrzegł, że ta ścieszka doprowadza go do cmentarza okrytego wspaniałymi pomnikami, obok których znajdowały się tu i owdzie nadpsute krzyże. Takie osady śmiertelników, zarody przyszłego zamartwychwstania, mają w sobie coś posępnego, osobliwie dla dusz tkliwych, i trudno jest pojąć, jak ludzie na widok takowych mogą być zimnymi i obojętnymi. Miejsce to cichym smutkiem swym tak wymowne, wzruszyło uczucie Ernesta; wstąpił na nie, a odmówiwszy klęcząc modlitwę za umarłych, począł chodzić, przypatrywać się nagrobkom i czytać ich napisy. — Jak smutnem jest to miejsce! mówił do siebie, ale do jak wielkich myśli podaję materję! — Tu to niknie wszelkie omamienie, a wykazuje się prawda. Nigdzie lepiej nie widać nikczemności rzeczy doczesnych, owych pozornych różnic człowieka, jak tu, bo oto tu obok możnego, spoczywa biedak, którego całe życie było łańcuchem nieszczęść i smutków, — i jeżeli ich nagrobek różni, to nagrobki są tylko szczątkami dumy ludzkiej, pod nagrobkiem jednakowa znikomość! — Ale cóż to za kamień

grobowy? już kilkanaście lat zdaje się być stary, a przecież jeszcze jakaś czuła dusza składa na nim świeże kwiaty.

Tak myśląc schylił się, ażeby odczytać napis; zaledwo odczytał, jęknął przeraźliwie i omdlał. Napis był w wyrazach następujących:

„*Tu leży*

Ernest Karol, Baron z Malwan

wychodźca francuzki

zmarły dnia — — —

i

Klementyna z Mirawel jego małżonka

zmarła w roku 1795.

Przechodniu módl się za ich dusze.“

Żadne pióro nie jest zdolne wyrazić, co uczuł sierota, przeczytawszy powyższy napis. Nie mógł wątpić, że znajduje się na grobie swego ojca, którego nie zaznał, i matki, o której sobie jakby ze snu przypominał; nazwiska, czas śmierci, boleść sama, którą czuł dotykając czołem zimnego kamienia, — wszystko to powiadało mu że się nie myli.

„Ale niechże Pan będzie baczniejszym na ozdoby tego grobowca,“ odezwała się hiszpańskim językiem biednie przybrana kobieta, wiekiem pochylona, której dotąd Ernest nie

dostrzegł, ile że się za jego zbliżeniem schroniła, a teraz urażona, że świeżo położony kwiecisty wieniec nadwerężył, wyszła z ukrycia, żeby się za swoją ująć pracę. — „Otóż mi pan pogniotłeś moje dopiero co położone kwiaty. Wszakże to powinno być wiadome, że własność zmarłych szanować należy!“

„O! nie obawiaj się staruszko żadnego z mej strony ubliżenia. Grób ten jest mi za nadto święty. — Powiedzże mi, znałaś te osoby, których zwłoki ten kamień kryje?“

„Dla czegoż to pytanie?“

„Ach, niewiasto, ja mam w tém bardzo wielki interes, — najściślej splątany z całym życiem mojem. Zaklinam cię na wszystko, odpowiedz mi.“

Staruszka pomierzyła go oczyma i wreszcie odrzekła: „Ja znałam tylko p. Baronową. Byłać ona w prawdzie francuzką, ale posiadała bardzo dobre serce. Wiele mi dobrego wyświadczyła, a ja się jej odwdzięczam jak mogę, modłę się za jej duszę codziennie, i odświeżam kwiaty na jej grobowcu.“

„O niech ci Bóg za to zapłaci! — Powiedzże mi, gdzie ta osoba mięszkała, której tak jesteś wdzięczną?“

„Ach, jój domu próżnobyś szukał; stał on w bliskości miasta, tam oto w dolinie; lecz zaraz w początku wojny zburzył go nieprzyjaciół, jak wiele innych.“

„Gdyś ją zaznała, czy już nie miała męża?“

„Nie; gdym ją pierwszy raz zobaczyła, leżał jój mąż już dawno w grobie, lecz ona chodziła jeszcze w żałobie. Miała małego syna, z którym przychodziła do mojej chaty, niosąc mi wsparcie, bo ja wtenczas od dwóch lat byłam cierpiącą. To jój dobre dziecię podawało mi jałmużnę. Raz przyprowadziła tego chłopczyka jego piastunka Pepyta, który podając wsparcie szczebiotał: weźmi to Doleres, to jest twoje; nie płacz, mama przyjdzie potem do ciebie sama..... A czegóż to pan płaczesz? — Kto jesteś? Czybyś pan znał panią Malwan i Ernesta?“

„Tym Ernestem ja jestem,“ odrzekł sierota nie mogąc dłużej przytłumić swego żalu.

„O droga dobrodziejko! Twoje lube dziecię stoi oto tu łzami zalane, a ty go nie możesz widzieć, nie możesz do serca swego przytulić!“

Długie potem nastąpiło milczenie. Ernesta nigdy jeszcze tyle nie dręczyła srogość losu

jego, jak obecnie przy grobie swoich rodziców, których osobiście nie znał. Walcząc z przemagającym rozczuleniem, prosił Dolores o wiadomości, mogące go bliżej zapoznać z rodzicami, lecz ta nie umiała zadowolnić jego życzeń. Tyle tylko jój wiadomo było: że pani Malwan okrucieństwami francuzkich rewolucjonistów była przymuszona wraz z mężem opuścić ojczyznę, że on wskutek zmartwień zmarł, a ona go długo nie przeżyła; że Ernano i Pepyta byli jedynymi sługami i powiernikami pani Malwan; więcej z nikim nie przestawała. „Zresztą, kończyła Dolores, byłam w ów czas tak cierpiącą, że nie mogłam opuścić łóżka, przeto nie wiem wiele rzeczy, któreby mogły mi być wiadome, gdybym była mogła czasem odwiedzić moją dobrodziejkę. Była ona tak łagodna i dobra, żeby mnie choć biedną, była przyjęła w dom swój.“

Ernest nie mógł się nasycić słuchaniem powieści o swjej matce, bo jój pochwała była balsamem na jego cierpiące serce; wszakże zachodzące słońce nagliło do powrotu, gwałtem więc oddalił się od przedmiotu swych uczuć, a dawszy staruszce nagrodę za jój troskliwość, wrócił do miasta.

Już noc rozpościerała swój ciemny, gwiazdami przybrany płaszcz nad powierzchnią ziemi, i trzeba było obawiać się spóźnienia do miasta, albo wcale napadu Gerylasów, którzy pojedynczo tułających się za miastem francuzów sprząтали; przeto Ernest przyspieszył kroku, nie bez żalu, że tak wcześniej opuścić musiał miejsce, które jego najdroższe skarby mieściło.

Wreszcie spostrzegł mury otaczające miasto; uczucie powinności popędzało go do pospiechu, aż znagła wstrzymuje go surowe zapytanie: „kto idzie?“ — Odpowiedziawszy na pytanie spostrzegł się w objęciu swego Feldwebela, który troskliwy o przyjaciela wyszedł z kilku żołnierzami naprzeciw niemu, żeby w potrzebie bronić go.

„Czyś ty zwaryował? — zawołał Frankur biorąc Ernesta pod ramię. — Bo czy to rozumny człowiek może tułać się późno w noc po tych niebezpiecznych okolicach? — Czy to nie wiesz, że Gerylasy na nas czyhają? Chociaż ci to przystoi nie bać się tych urwiszów, ale wystawiać się lekkomyślnie na ich puginały, to jest zuchwalstwo! — Nie, tyś się Pisał w tym razie jak rekrut?“

„Przyznaję, iżem zblądził! — Ale gdybyś Feldwebelu wiedział.....“

„Cóż ja mam wiedzieć? — odrzekł Frankur trochę markotny na Ernesta. — Ja już i tak dosyć wiem: że mamy rozkaz jutro wymaszerować; — że Pułkownik ciebie szukać kazał i że ty za niebytność poznasz się z aresztem, rozumiesz? — Ale bo też Pułkownik mocno się zmartwił, gdy cię przy apelu nie znalazł; i nie trzeba mi było wiele go błagać, żeby mi pozwolił cię poszukać.“

Frankur mógłby być kto wie jak długo karcieć, bez przerwy ze strony Ernesta, bo ten, jak skoro usłyszał o marszu, nim tylko mając zajętą głowę: „mój Boże! myślał sobie; zaledwo znalazłem grób rodziców, jużci go opuszczać muszę. Możebym potrafił przecieź coś więcej dowiedzieć się tu o nich, gdy rozkaz marszu przecina mi wszelką sposobność do tego. — Takżeto życie moje, które mi nie dawno na łonie ubóstwa tak przyjemnym było, ma być łańcuchem boleści. Czemuż mię Gerylasy nie zesłi i nie zabili na grobie rodziców! Miałbym w tym razie przynajmniej tę pociechę: że grób rodziców krwią

moją skropiłem, a miłosierna ręka pogrzebałaby ciało moje w bliskości ich grobu!....“

Te myśli tak go udręczyły, że stanąwszy przed Pułkownikiem, nie był zdolny utrzymać się na nogach. Ten widząc jego wzruszenie, łagodnie badał o przyczynę smutku i gdy powziął wiadomość o odkryciu rodzicielskiego grobu, usiłował po ojcowsku pocieszyć strapionego.

„Rzeczywiście jutro musimy wymaszerować, a ja pojmuję, mój kochany Erneście, że w twojem obecnem położeniu, marsz ten ci bolesnym; przecież na zawsze nie opuszczamy Hiszpanii; spodziewam się przeto, iż podarzy ci się częsta sposobność widzenia grobu twych rodziców. Ja z mej strony biorę na siebie obowiązek powzięcia bliższych wiadomości o twój familii. Uspokój się przeto! Wszakci to życie ludzkie nieodwrotnie wystawione jest na rozliczne przygody i trudności, ale im z większym mężstwem opieramy się onym, tém łatwiej je zwyciężamy.“

Podał przytem Ernestowi rękę, którą on przycisnął do ust swych. Byli pod ów czas bez świadków, Pułkownik przycisnął go do

serca i dodał: „Przytul się do serca mego, biedne dziecię, i wiedz, że ono bije dla ciebie; czuje twoje nieszczęście i gotowe pocieszyć cię w każdym razie. Jeżeli dokuczają ci kiedykolwiek będą troski, szukaj tu śmiało ulgi i pomocy.“

Takie dowody miłości ze strony przełożonego, zdolne były pocieszyć smutnego, i rozpędzić jego troski.

„Tak jest — odrzekł — teraz czuję, że boleść mego serca pierzchła, gdy p. Pułkownik czynisz mię godnym takiej przychylności!“

Odtąd istniała szczególniejsza wzajemność pomiędzy Pułkownikiem i jego sekretarzem; choć przez to karność wojskowa w niczem nie została naruszoną, bo Ernest posiadał szczególną skromność i uczucie przyzwoitości, takt przyzwoity który kierował jego postępowaniem. Dalekim przeto był od tego, żeby sobie na karb przychylności Pułkownika cokolwiek pozwalał, lub przechwalał się z tego szczególnego stosunku; a w taki sposób unikał wszelkiej zazdrości, lub natręctw ze strony kolegów, żądających wiele po tym, kogo widzą w łaskach u przełożonego.

Dnia następnego opuścił Ernest z swoim pułkiem Wittoryę; często bardzo wracały myśli i uczucia jego na grób rodzicielski, i nie bez łez wspominał sobie wieniec ręką obcą złożony na rodziców grobie, gdy jemu nie było wolno pozostawić jakiegokolwiek pamiątki; wszakże z głębi serca modlił się za nich, a to sprawiało ulgę strapionemu sercu jego. Zresztą okolice, przez które przechodził, przyłożyły się znakomicie do utłumienia smutnych myśli. Pułk dążył do Burgos, mało przez Gerylasów nagabywany, dla tego że im dał parę dzielnych przestroóg. Tu, jako i na całym półwyspie hiszpańskim pozostawiła wprawdzie wojna okropne pomniki spustoszenia; wszakże przyjaciel natury i w tych nawet zwaliskach mógł znaleźć wiele osnowy dla swego zadowolenia; nie dziw więc, że Malwana takowe rozrywały i przykładały się do zagojenia rany jego serca.

Przecież musiał i tę miłą sobie rozrywkę porzucić, a to dla tego, że nowy urząd tak go zatrudnił, iż nie mógł jej się poświęcać. Zaledwo bowiem przymaszerował pułk do Burgos, Jenerał i komendant placu, za po-

leceniem Pułkownika, przyjął Ernesta jako znającego język hiszpański za tłumacza, a ten stopień zajął wyłącznie jego czas. Jak z jednej strony mało miał odpoczynku, tak z drugiej wynagradzał go sownie awans i znaczniejszy żołd, którego oszczędzenie służyło sownie na korzyść tych, co go wychowali. — Bo z posunięciem na wyższy stopień służby, mało powiększył swe potrzeby; a choć koledzy rozmaicie podsuwali mu sposobności do wydatków, on pamiętając na niedostatek swoich dobrodziejów i przyjaciół, takowych unikał, więcej znajdując rozkoszy w możności wspierania biednych, niż w rozrywkach światowych. Jeżeli bowiem to sprawiło mu wielką rozkosz, gdy mógł ujęte sobie trzy franki posłać Szczepanowi: jakże nie miał się cieszyć, gdy terazniejszy jego dochód stawił go w możności przesłania mu daleko więcej? —

„Drogi Szczepanie!“ — mówił do siebie przerachowawszy cztery sta franków, — to ulży twój zakłopotanej głowie; — nie będziesz więcej utyskiwał na niedostatek ojca twego. Czemuż to ja nie mogę być świadkiem twój radości, jaką uczujesz odebrawszy te pie-

niądze od przyjaciela. Przynajmniej opędzisz najkonieczniejsze potrzeby, — i będziesz mógł żyć spokojnie, aż ci twój przyjaciel znowu coś przysła. — Mój Boże! zachowajże mię przynajmniej tak długo przy życiu, aż zdołam zapewnić znośniejszą dolę moim przyjaciółom; natenczas życzenia moje będą spełnione!“

Zwierzył się z swym zamiarem Pułkownikowi, który podziwiając piękne serce Ernesta, upatrzył pewną sposobność do przesłania Szczepanowi oszczędzonych pieniędzy.

Jeszcze drugie podobnego rodzaju miał Ernest życzenie, to jest polepszyć los biednej Dolores, która podług możności odwdzięczała się jego matce, ścieląc jej grób świeżemi kwiatkami. — Z czasem i pod tym względem widział uwieńczone swoje życzenia pomyslnym skutkiem.

ROZDZIAŁ VI.

Ernest między Gerylasami.

Wśród tych pięknych, serce czule zdradzających zabiegów, miał Ernest ztąd wielką pociechę, że szacunek i zaufanie jego przełożonych z dniem każdym ku niemu wzrastało. Wszędzie, nawet między żołnierzami umiał sobie zyskać serca, i jednogłośnie wielbili go wszyscy, to z jego wiadomości i talentu, — to z jego czystych obyczajów, łagodności i grzeczności, — to wreszcie z jego punktualności w pełnieniu służby. W owym czasie, nie było trudno ludziom odznaczającym się dostać się na wyższe stopnie; czasem potrzeba było tylko sprzyjającej okoliczności, żeby się wznieść na stopień nawet najśmielsze przewyższający nadzieje.

Takie okoliczności sprzyjały Ernestowi Malwan.

Drugi rok się już kończył, jak Ernest podzielał z pułkiem, do którego należał, zajścia i trudy wojny hiszpańskiej, która coraz uporczywszą się stawała. Nie wchodząc w drobnostki, krótko z tych dwóch lat opowiem o nim, że przymioty jego i zasługi zyskały mu stopień oficera. — Pewnego poranku przywołany do Jenerała T....., który komenderował oddział armii, do której pułk jego należał, zastał oficerów wyższej rangi, między którymi był i Pułkownik jego, zgromadzonych na radę wojenną. Tenże ostatni powstał z krzesła, podał mu rękę i przedstawiając go zgromadzonym, tak się odezwał:

„Otóż jest ten, o którym wam panowie mówiłem; ja ręczę za niego, jakby za siebie samego. — Chodzi tu mój Poruczniku o to, żeby naszą dywizyą uratować od zguby, a ja oświadczyłem, że jesteś do tego zdatnym.“

„Dziękuję mój Pułkownikowi za to szaczone zaufanie! — Cóż to ja mam uczynić?“

„Oto jako hiszpan przestrojony, masz sam udać się do St. Wincent, gdzie się kilka naszych oddziałów zgromadza. Jenerał który

niemi komenderuje, czeka na rozkazy, których mu piśmiennie przesłać dla tego nie można, że zewsząd nas oskrzydłające Gerylasy kuryerów chwytają, papiery im odbierają, i tak dowiedziawszy się o naszych zamysłach dużo nam szkodzą. — Jenerał przeto ma odebrać przez p. Porucznika ustne zlecenia i rozkazy; a te skoro odbierze przedsięwzięcie takie, zgodne z naszymi ruchami obrotu, że zamiast uledez, na co nieprzyjaciel zakroił i cohy podług obecnego położenia rzeczy nastąpić musiało, odniesiemy niechybne zwycięstwo.“

„Jestem do tego gotów, panie Pułkowniku.“

„Panie Malwan! — odezwał się Jenerał T. — pojąłeś to dobrze, iż twoje poselstwo jest bardzo niebezpieczne? — Jeżelibyś miał to nieszczęście wpaść w ręce Gerylasów i być od nich poznany jako francuz, obeszliby się z tobą jak że śpiegem, — niechybna śmierć!“

„Ja to już rozważyłem Jenerale!“

„A tak, jesteś gotów raczej śmierć ponieść, niż wydać tajemnicę?“

„Tak jest Jenerale, raczej umrzeć, niż

być zdrajcą! — Poczytuję to sobie za szczęście, że mi się podarza sposobność pokazania mej uległości i przysłużenia się moim kolegom i ojczyźnie!“

Członkowie zgromadzenia spojrzeli z podziwieniem na Porucznika, Pułkownik zaś przycisnął go do piersi i rzekł: „Więc idź mój synu! — Niebo niech cię ma w swęj opiece!“

Skoro Ernest odebrał od Jenerała instrukcye i rozkazy, zdjął oficerski uniform, przebrał się po hiszpańsku i niezwłocznie udał się w podróż. — Wychodząc z miasta spotkał Frankura, który go nie poznał. Ernest chętnieby go był zagadnął, aby mu podziękować za przyjaźń i tyle okazanej przychylności; pobudzała go do tego myśl, że może ze swęj niebezpiecznej wyprawy nie powróci; przecież z obawy żeby go nie zatrzymał, lub ktoś z hoku nie zwąchnął o co tu idzie, przeszedł mimo niego niepoznany.

Pomimo odwagi, uczuł Ernest jakieś ściśnienie serca, nie tań bowiem przed sobą niebezpieczeństwa, na które się narażał. Przecież śmiało szedł dalej, a spotkawszy po drodze kościół wstąpił do niego, i u stopni

ołtarza, czerpał w czulej modlitwie odwagę i siłę.

Zdawna przy rozmaitych okolicznościach, poznał okolicę którą miał przechodzić, a przy zręczności i roztropności doszedł szczęśliwie do celu swęj podróży, nawet bez spotkania się z Gerylasami, gdzie wywiązał się z danych zleceń jak najdokładniej.

Ośmielony pomyslnym skutkiem podróży, wracał do pułku temi samemi ścieżkami, któremi był przyszedł. Ale ta odwaga, jaką w nim pomyslnie załatwienie interessu wzbudziło, wnet się w trwogę zamieniła. Właśnie ominął kilka chałup w których się spodziewał Gerylassów, gdy w ciemnym lesie niespodzianie wpadł w ich ręce.

„Kto jesteś? — Z kąd idziesz!“ krzyknęli wszyscy razem.

„Jestem sierotą, utraciłem moich rodziców w prowincyi Alawa, a teraz dążę, aby dopełnić obowiązku, który Bóg na mnie włożył,“ odrzekł Ernest śmiało.

„Czy to tu na tych manowcach chciałeś twęj powinności dopełnić?“

„Nie znajomy z okolicą zboczyłem z drogi, żeby w cieniu lasu znaleźć ochronę od

skwaru słońca; sądziłem że tędy trafię, odpocząwszy na drogę.“

„Kłamiesz!“ krzyknął jeden z partyzantów. „Mnie się zdaje, iż przed miesiącem widziałem cię w bliskości francuzkiego Jenerała w Burgos.“

„To śpieg! — Musi umrzeć!“ Krzyknęli wszyscy z wściekłością i podnieśli swe katolofskie noże, ażeby je utopić w piersiach swej ofiary. Jeden z nich rozerwał odzienie pierś Ernesta okrywające, ażeby pierwszy zadał mu raz śmiertelny, gdy jego ręka, którą się właśnie zamierzył zdrętwiała na widok krzyża, który Ernest nosił na piersiach.

„Ja się nie mylę, — odrzekł wskazując na odkryty krzyż — że to jest dziecko hiszpańskie, bo inaczej nie nosiłby tego znaku zbawienia na sobie. — Byłoby to zbrodnią, gdybyśmy brata naszego zabili. Poprowadźmy go, do Jenerała Kastannos, on go potrafi najlepiej wy badać, i jeżeli winien, nie ujdzie śmierci!“

Tak mówiąc, przetrząsał ubiór Ernesta szukając broni lub papierów; a gdy nic takiego nie znalazł, związał mu ręce, i cała

banda udała się wraz z uwięzionym do chałup, które nasz oficer chciał ominąć.

Nie umiem ja słowami oddać należycie bolesnego uczucia, jakie przeraziło Ernesta! Był on pewnym, że idzie na śmierć, bo jak z jednej strony dochować swę tajemnicy postanowił, tak z drugiej najinniej myślał kłamstwami wydobyć się z matni. W pośród tych smutnych myśli, błyskała mu przecieź nadzieja w Bogu, której rękojmią była mu ta okoliczność, że dzika banda na widok krzyża wstrzymała mściwe swe zapędy; co go tak znacznie uspokoiło, że zupełnie przytomny stanął przed sędzią.

Gdy go Jenerał zmierzył oczyma nie mógł stłumić w sobie podziwienia: zapowiedziano mu śpiega, to jest jednego z owych podłych ludzi, którzy dla kilku groszy wystawiają życie swe na zgubę, a których hańba piętnuje się w całej postaci tak dalece, że każdy uczciwy człowiek na ich widok odrazę od nich czuje; gdy tymczasem widzi przed sobą człowieka młodego, w którego oczach i twarzy maluje się czysta i wielka dusza. Z tém wszystkiem lubo ujęty na stronę obwinionego, z rozważną ostrożnością przystąpił do

śledztwa. Ernest odpowiedział z wielką ostrożnością i to tak, że można było dostrzedz, iż pokrywa jakąś tajemnicę.

„Otóż przekonywasz się Jenerale, że nie odpowiada wprost; zbywa twoje pytania; nie masz przeto wątpliwości, iż jest śpiegiem; iż umrzeć powinien,“ odrzekli Gerylasy wzno-
sząc swe noże, aby je utopić w sercu Ernesta.

„Powściągnijcie wasz zapęd! Ja rozka-
zuję!“ — odpowiedział Kastanos, nie z tego powodu, jakoby był oniewinności Malwana przekonany, lecz z szacunku dla męstwa jakie okazywał na widok wzniesionych pu-
ginałów, a przeto na widok oczewistej śmierci. Poczem wziął naczelnika tej bandy na stronę i tak doń mówił: „Młodzieniec ten, jest istotnie w hiszpanii urodzony. Umie on należy-
cie, z drobnostkami nawet oznaczyć grób swych rodziców; francuzkiego języka nie rozumie, bo jak słyszeliście, na próżno go w tym języku zaczepiałem. — Ja chcę, żeby był we więzieniu pod mém okiem osadzony; jeżeli się pokaże, że jest w istocie śpiegiem, będzie tyle jeszcze czasu wymierzyć nań karę śmierci; ale porywczym być nie należy, gdzie idzie o życie człowieka.“

Poczem nie czekając odpowiedzi, rozkazał osadzić Ernesta w sklepie na końcu sadu za domem położonym. Posłuszni komendantowi ludzie, okuli więźnia w kajdany, i zamknęli w rzeczonym sklepie. — Tu porzuciwszy się na słomie, zawołał: „Mój Boże, zmiłuj się nademną! — Najświętsza Panno, nie opuszczajże mię! — Boże! pospiesz mi z pomocą, jeżeli nie jest wola Twoja, ażeby umarł w rękę okrutników!“

Wnet znękaný tyłu wzruszeniami, osłabiony podróżą i głodem, wpadł w odurzenie, które choć sił nie pokrzepiało, zwolniło go przecież od myśli dokuczających. — Nie długo trwał ten stan spokojności, przerwał go nie zadługo głód z pragnieniem. Od samego świtu wędrując, z obawy żeby nie natrafić na nieprzyjaciół, nie śmiał wstąpić do żadnego mieszkania, aby prosić o pożywienie; a jego okrutni dozorczy nie mieli tyle litości, żeby mu podać szklankę wody. — Na próżno macał w około siebie jeżeli nie znajdzie garczka z wodą; — prawie w rozpaczy zawołał: „nie, a nie!“

Z tem wszystkiem westchnąwszy do Boga zwyciężył swe cierpienia, w przekonaniu,

że w krytycznem jego położeniu nieodzownie potrzebna jest przytomność umysłu. Nie uszło to bowiem jego uwagi, że Kastanos okazał mu niejakię współczucie; — wiadomo mu także było, że ten wódz wśród okrucieństw, jakich się jego banda dopuszczała, tu i owdzie okazywał swą wspaniałomyślność; nie zdało mu się przeto, żeby taki mąż zamyślał go głodem umorzyć, skoro go ochronił od ich pugałów. — Oddając się przeto nadziei polecił się Bogu i zasnął.

Może godzinę spał, gdy go przebudził głos, który wśród ciemności we francuzkim języku przemawiał:

„Masz tu oto jedzenie, pospiesz się i jedz, bo nikt nie ma wiedzieć, iżem się nad tobą zlitował.“

Lubo jeszcze na pół śpiący, i łaknący posiłku, przecież pamiętał że udawał nieumiejącego po francuzku. Może to podstęp, pomyślał sobie i odrzekł po hiszpańsku: „Cóż to chcecie odemnie?“

„Oto masz jeść, boś pewnie głodny!“ — usłyszał odpowiedź znowu po francuzku.

„Cóż żądacie odemnie?“ powtórzył Er-

nest — czyniąc sobie gwałt, żeby nie pochwycić za jedzenie.

Tu nastąpiło momentalne milczenie, i gdy nieszczęśliwy osądził, że ta niespodziana pomoc znikła, usłyszał szelest, potem padł nań promień światła, w którym spostrzegł samegoż Jenerała Kastanoś, a ten tak doń przemówił po hiszpańsku:

„Teraz wierzę iżes jest hiszpanem, — weźm to, i zaspokój twój głód i pragnienie.“

Gdy Ernest jadł podany sobie kawał chleba i kilka owoców i popijał wodę, mówił do niego Jenerał w te słowa:

„Powiedzże mi teraz młodzieńcze, czemu ty dotąd jeszcze nie wstąpiłeś w szeregi ojczyste, gdy jesteś synem hiszpanii? — Tchórzostwo nie może być tego przyczyną, bo gdy na cię wymierzono pugały, tyś ani okiem nie mrugnął. Ja to dobrze uważałem, a ta próba męztwa bardzo mi się podobała. Przeto chwyć za broń w naszej świętej sprawie, a będziesz natychmiast wolnym. — Pomnij że skoro się będziesz ociągał, stanie twoje życie w niebezpieczeństwie! — Albo przyrzecz służyć z nami, albo bądź gotów umierać jako śpieg!“

„Ach! na to podłace nazwisko śpiega, jak mi miły honor uczciwego człowieka, nie zasługuję!“

„Więc służ wspólnie z nami!“

„Tego nie mogę! — Równie święty obowiązek przeszkadza mi.“

„Nieszczęśliwy! — A wiesz ty, iż tem wyrzekłeś twój wyrok śmierci?“

„Ha! niech się wola Boska dzieje!“ Malwan wznosił, to mówiąc, ręce swe w niebo, a twarz jego przybrała tak wiele mówiący wyraz, że Jenerał nie mógł utaić swego politowania; przecież przewyciężając współczucie, odrzekł z surowością udaną:

„Jutro ze wschodem słońca musisz umierać!“ i odszedł.

Ernest znowu samotny i pewny sromotnej śpiega śmierci, wyrzekł z rozczuleniem: „O mój drogi Szczepanie! toż ja cię to w tym życiu więcej widzieć nie mam? — Zaledwo ośmnaście lat stary, gdy mi zaledwo życie poczyna uśmiechać się, mam je haniebnie kończyć! — O mój Boże! nie opuszczajże mię nieszczęśliwego! Jeżeli Twoja jest wola, że mam teraz kończyć, zdaję się pod Twoje rozporządzenie z synowskim zaufaniem, że to

mądrość Twoja za najlepsze dla mnie poczytuje. — Niech Panie umieram jak Chrześcijanin, na wzór Twego najmilszego Syna, bez utyskiwań, w przyjaźni z Tobą!“

Tu przerwało mu skrzypnienie drzwi, osoba jakaś wcisnęła się do więzienia i stanęła przed Ernestem, który mniemał, że Jenerał uprzęda wyznaczoną godzinę śmierci i wyciągnął ręce jakby chciał odwrócić cios śmierci. Lecz w tym momencie padło nań światło ukrytej latarni; osoba jakaś zdjęła mu z nóg i rąk kajdany i odrzekła: „choć za mną!“

„Czy mię ty na śmierć prowadzisz? — Jeżeli tak, pozwól niech się trochę jeszcze pomodłę!“

„Chodź i milcz!“

Usłuchał Malwan. — Po półgodzinnym pochodzie gdy stanęli nad wawozem, nieznanomy obrócił się do niego i rzekł: „Poznajesz mnie?“

„Nie! — Lecz jeźliś przyjacielem, wybawcą moim, powiedz kto jesteś, abym ci do śmierci był wdzięcznym.“

„Ja jestem Alfonso. Przypominasz sobie iżes mi życie uratował; a ja ci dziś odpłacam! Po tym czynie nie jestem ci nic winien. Je-

żeli się spotkamy na polu bitwy, będziemy się odtąd mogli uważać za nieprzyjaciół.“

„Nie! — nigdy nieprzyjaciółmi być nie możemy!“ odrzekł Malwan i chciał wybawcę uściskać; ale ten go zimno odepchnął mówiąc:

„Odstąp! — wiedz że pierś hiszpana nie może spoczywać na piersi francuza! Wczoraj wieczorem poznałem cię, mnieś ty całkiem nie uważał; świadkiem byłem śledztwa i muszę wyznać, że to mi się najwięcej podobalo, iżes żadnego nie dopuścił się kłamstwa w celu uratowania życia swego i dla tego zyczyłem sobie mieć ciebie towarzyszem broni; lecz że odrzuciłeś wezwanie Jenerała żądającego po tobie, ażebyś walczył za wolność hiszpańską, przeto stałeś się moim nieprzyjacielem. Lecz że byłem jeszcze twoim dłużnikiem, więc gdy cię skazano na śmierć, postanowiłem cię ocalić, spłacić dług, co gdy się stało nic sobie winni nie jesteśmy.“

„Wspaniałomyślny Alfonso! — Jeżeli ten czyn przyniesie ci jakie niebezpieczeństwo, więc wolę raczej umrzeć.“

„Niczego się nie obawiaj! — Jeżeliby odkryto, że ja cię uwolniłem, na ten czas wyznam nasze wzajemne stosunki, bez naj-

mniej obawy, ile że u nas tak szlachetne uczynki znajdują niezawodne uwzględnienie; — zresztą będą mieli i na moje zasługi względem ojczyzny poniesione należyte względy. Przeto nie obawiaj się o mnie bynajmniej i uchodź spokojnie; lecz bądź pewnym, że Alfonso tak na życie twoje czyhać będzie, jak na każdego z francuzów!“

Po wyrzeczeniu tych słów wrócił Alfonso spiesźnie; a Ernest szedł ku Burgos. Uwolniony z rąk okrutnych, nadzieją pokrzepiony, dziękował idąc Bogu za to, że go z oczywistej zguby łaskawie wyswobodził raczył.

Takimi zajęty myślami spostrzegł mury miasta, których przed kilku godzinami nie miał nadziei oglądać. Czas powrotu spóźnił się znacznie; więc jego protektor był w nie-maliej obawie, radość też była tém większa gdy go spostrzegł i w objęciach swych jak własnego syna uściskał. Ernestowi to przyjęcie tak dalece schlebiało, że zapomniał o wszelkich niedogodnościach i niebezpieczeństwach swęj podróży. Przy sprawozdaniu wspomniął o nich tylko krótko i byłyby je całkiem pominął, gdyby przełożony nie był zażądał obszerniejszego o nich wspomnienia.

Odwaga i poświęcenie się Ernesta wydały w istocie wielkie korzyści dla wojska francuzkiego w Burgos i okolicy rozłożonego; hiszpanie ze wszech stron natrętnie nacierali i byliby zapewne swych dopięli celów, gdyby Jenerał przez Ernesta odebrawszy rozkaz, nie był na zaczepiających uderzył z tyłu; tak w dwa ognie wzięty nieprzyjaciel musiał pierzschać, poniosłszy znaczne straty. Przecież Malwan nie był użyty do walki; dano mu tymczasem inne zatrudnienie, bo Jenerał G. uwzględniając jego stosunki do Alfonsa, nie chciał obu wystawiać na niebezpieczeństwo; — w sprawozdaniu zaś o zwycięztwie odniesionym, wystawił zastugę Porucznika tak korzystnie, że w miesiąc po tem odebrał krzyż legii honorowej. Jakaż to radość opanowała jego ducha, gdy przed frontem pułku Jenerał ogłosił zastugę Ernesta Malwan i przypiął mu nadgrode zapoświęcenie się jego. O, jakżeby ta radość jego nie równie wznioslejszą była, gdyby ją mógł być dzielić z rodzicami swymi. Ale gdy to nie było możebne, ulżył tem sercu swemu, że o swoim szczęściu doniósł Szczepanowi i księdzu swemu, niegdyś nauczycielowi.

ROZDZIAŁ VII.

Odwiedziny.

Ernestowi jeszcze nie wywietrzały myśli, któremi skreślił swój list do Szczepana, gdy pewnego poranku wchodzi do niego Frankur zbłądły i osłabiony, tak że o swęj mocy za ledwo mógł stać.

„Cóż ci się to zrobiło kochany Feldweblu, żeś tak osłabiony? — Jeszcze cię takim nigdy nie widziałem?“

„Ale bo mi też nic jeszcze tak nie doczyło. — W najbliższej utarczce dam się zabić hiszpanom!“ —

„Nie bajże kolego! — a powiedz, co ci się takiego zdarzyło.“

„Wieszci pewnie p. Porucznik, co mię martwi.“ —

„Nic tak szczególniejszego nie wiem.“

„Jakto, miałbyś nie wiedzieć, że wczoraj wieczorem przyszła sztafeta, donosząca, że nasz Pułkownik podwyższony na stopień Jenerała brygady.“

„I to cię tak smuci?“

„Ej nie! To mię cieszy; — on na to dawno zasłużył. Lecz też sama sztafeta głosi, że ma wrócić do Francyi, aby ztamtąd iść do Rossyi, gdzie się wojna rozpoczyna.“

„Jakto, ma nas opuścić? — A to prawda, że bardzo smutna nowina.“

„Nie dla porucznika, ale tylko dla mnie samego; bo pan masz iść z nim, a ja który cię kocham, jak własne dziecko, mam tu pozostać. — Mój Boże! gdy ja słyszę jak porucznika chwala, gdy cię co spotka pomysłnego, jak to nie dawno z tym krzyżem honorowym, to mię aż za serce chwytła, tak mię to cieszy, że gdyby mnie to samego spotkało, nie byłbym tak uszczęśliwionym. A teraz nagle rozłączają nas. — Nie, ja tego nie przeżyję! — Przy najbliższej sposobności dam się zastrzelić!“

„Ale mój kochany przyjacielu! porzućże takie rozpaczliwe myśli. Jeżeli w rzeczy sa-

miej przyjdzie nam rozłączyć się, to zawczasu żądam twego przyrzeczenia, że będziesz się dla mnie ochraniał, ażebyśmy tam się znowu zesзли, gdzieśmy się najpierw poznali. — Kochany Frankur! zrób mi tę nadzieję: że gdy się wojna skończy, a my odpłacim dań naszą ojczyźnie, znajdziemy się obaj w chacie Szczepana, gdzie uprawiając rolę, chodując trzody, rozprawiając o naszych kampaniach, żyć uczciwie jak przyzwoita chrześcianom będziemy, a Bóg będzie nam błogostawił. Nie prawda, że takie życie będzie szczęśliwe; — że go pragniesz?“

„Prawda! — a ja o tem ani pomyślałem! Więc tedy poruczniku w przyszłości szczęście a tymczasem słodka nadzieja! — Do widzenia! — Ale, ale, ja zapomniałem najistotniejszego interesu, który mię tu przyprowadził: Pułkownik wzywa Porucznika do siebie i to jak najspieszniej.“

Frankur wyszedł, a Ernest przypasawszy szpadę udał się do Pułkownika.

„Pośpiesz się Poruczniku, — rzekł Pułkownik do Ernesta — bo w przeciągn dwóch godzin trzeba nam miasto opuścić! — Wiadomo ci pewnie, że Cesarz mianował mię

Jenerałem, mam dowodzić brygadą która się nad Renem zbiera; — a ciebie wyprosiłem sobie za Adjutanta.“

„O mój Jenerale! wasza dobroć uprzedza zawsze moje choćby też najśmielsze życzenia. — Jakże ja mam stosownie za to podziękować!“

„Ja od ciebie, mój synu! tylko miłości żądam. — Urządź tylko niebawnie twoje interesa, żebyś jak najwcześniej gotów był do podróży. — Co do twego wyekwipowania, nie kłopot się, ja o tém pomyszę; — w stajni stoi dla ciebie dzielny andaluzczyk, którego odemnie przyjmiesz w podarunku, bo konno nam do granicy dążyć należy.“

„Mój Jenerale!“ —

„Bez podziękowania; ja chcę, żebyś mię odtąd jako ojca swego uważał.“

„A ja pierwszy raz nader szczęśliwy, całuję rękę mego ojca!“

„Dosyć na tém! — Spiesz przygotować się do podróży; — wracaj bez straty czasu; — bo nasze chwile są policzone!“ —

W dwie godziny potém jechał Jenerał ze swoim Adjutantem na czele oddziału strzelców, którzy go do granicy odprowadzali.

Któż potrafi należycie skreślić uczucia młodego Adjutanta na pysznym andaluzczyku, w świetnej uniformie, wracającego tąż samą drogą, którą przed nie pełna dwoma laty postępował jako biedny dobosz! — Jakże to odmiana w tak krótkim czasie! — Przecież nie unosiła go duma ze swego szczęścia, nie próżność z powodu ubioru, ale serdeczna jego wdzięczność Bogu za tyle, łask któremi go obsypał. Obok tego na przemian raz smętne raz wesołe uczucia przelatywały jak pojedyncze chmurki myśli jego. Smętne: że opuszcza grób rodzicielski może na zawsze; wesołe, że w krótkim czasie widzieć będzie drogiego Szczepana! —

Przecież to szczęście, do którego Ernest wzdychał, mogło być tylko momentalne. Ale w tém, tak obfitém w nieprzyjemności życia, nie jestże i jeden moment prawdziwej rozkoszy nader wielkiej ceny? — Któżby go od siebie odpychał przez wzgląd na to, że jest tylko momentalném? A dla tego, że zniknie jak błyskawica, i zostawi po sobie niesmak: czyżby chciał go ktoś uniknąć? — Nie, Ernest nie był tak trworżliwym, bo szanował w duchu swym drogi Opatrzności, szedł

niemi z zaufaniem czy usłane były cierniem, czy różami. — Uściskać przyjaciela swego uważał sobie za szczęście najwyższe, jakie mu ziemia dać może, a spostrzegłszy chatę, uczuł że chwilę tę okupiłby życiem swoim.

„Tam oto między temi drzewami Jenerale jest mieszkanie mego przyjaciela! — Szczepan gotuje zapewne wieczerzę ojcu swemu, bo się kurzy z komina!“

„Więc zsiądźmy z koni; nasi towarzysze udadzą się do bliskiej wsi, a ja ci będę towarzyszył do twego przyjaciela.“

„Jenerał mi chcesz towarzyszyć? — Mój Boże! toć to są biedni pasterze!“ —

„Ale są poczciwi ludzie, a takie przymioty są rzadkie między ludźmi. — Wierz mi, ta chatka takimi zaszczycona mieszkańcami, daleko mi jest milsza, niż pałace, które zamieszkuje obłuda! — Chodź, nie trać czasu!“

Udali się obaj pieszo do chaty. Szli z cicha, nie postrzeżono ich, choć drzwi były uchylone. Usłyszeli głos czytającego.

„To głos Szczepana; czyta mój list ostatni.“

Wnet usłyszeli inny głos, a ten był Antoniego, mówiący: „Dobry chłopiec! — Jakże mu to Bóg pobłogosławił!

„O! ja byłem tego pewien, że zrobi wielkie szczęście!“ — dodał Piotr przytomny.

„To przecież wszystko nie wróci go nam; owszem oddali go jeszcze od nas; — odrzekł Szczepan. — Obym ja go też choć aby na chwilę mógł widzieć!“

„Twoje życzenie spełni się!“ odezwał się Jenerał głosem, że go w chacie słyszeć można było.

Na tę odezwę wybiegł Szczepan z chaty; spostrzegłszy wojskowych pomierzył ich trworzliwym wzrokiem, a wydając krzyk radośny, padł na piersi Ernesta, którego choć w świetnej uniformie zaraz poznał.

Nie będę się kusił opisać to uszczęśliwienie, jakim upojeni byli dwaj ci przyjaciele pod czas wzajemnego uściśnienia; — bo i oni sami nie byliby zdolni tego nam opisać. — „Szczepan — Ernest“ — były to jedyne wyrazy, które słyszeć można było. Piotr i Antoni życzyli sobie także korzystać z tego uszczęśliwienia — pierwszy wyszedł przed dom, drugi nie mogąc się ruszyć z łóżka wołał: „Jeżeli to jest w istocie Ernest, niechże przyjdzie do mnie! — Drogi Ernestcie! choć w tym pięknym ubiorze i ozd-

bionego krzyżem zasłużonych ojczyźnie — poznaję cię! — Mój Boże! teraz mogę spokojnie umrzeć, boć ty mi darujesz, iżem dla ciebie czasami był przykrym! O, ja tego mocno żałowałem! od tego zaraz czasu, jakżeś z siebie szlachetną uczynił ofiarę, i wstąpił za Szczepana do wojska. Tu ja to poznałem, iżem się na tobie mylił, że posiadałeś lepsze serce, niż ja się spodziewać mogłem.“

„Drogi Antoni! zapomnij o tém, czego ja nie pamiętam. Twoje błogosławieństwo któreś mi odchodzącemu do wojska tak szczerze dał, jak je daje ojciec synowi; to, to przyniosło mi szczęście.“

„Jak mu to pięknie w tym mundurze! — o jak on to dobry!“ Mówił Szczepan w radośnem uniesieniu stojąc przed Ernestem.

„Tak jest! zakończył Jenerał. Jest on dziś tak jak niegdyś godnym waszój miłości! — Poczciwy Szczepanie! tyś pierwsze nasienie cnoty rzucił w ducha jego; ciesz się teraz z twojego ucznia.“

„O mój Jenerale! — odpowiedział Szczepan. — Oby ci nieba tyle sprzyjały, ile mnie twe słowa nabawiają pociechy!“ —

Na takich rozmowach zeszyły dwie godziny,

które zdawały się być jednym momentem. Ernest pierwszy wspomniał, że jest czas wrócić do obowiązków, jakie nań stan jego wkładał; przewidywał on jaką ofiarę z siebie uczynić musi rozłączając się z przyjacielem, uzbroił się przeciw poprzednio mężstwem, i do niego też zachęcał Szczepana.

„Bądź mężnym przyjacielem! nie oddawaj się takiej tkliwości! — Potrzebnym jesteś, żeby pielęgnować wiekiem i chorobą znękanego ojca, dlań się poświęć! — Miej też pieczę o naszą chatkę, bo tu my się wnet połączymy, żeby się już nigdy nie rozłączyć. — Ta myśl niech cię pociesza!“

Złożył na łóżko Antoniego owoce swój oszczędności; — odebrał klęcząc jego błogosławieństwo; — podał rękę Piotrowi, — i opuścił śpiesznie z Jenerałem chatę, który i z swój strony przysporzył ofiarę Ernesta.

Już się znacznie oddalili od domu szczęśliwych mieszkańców, gdy uboczną ścieżką przez zboża zaszedł im jeszcze drogę Szczepan. Jeszcze raz żegnał się z Ernestem; ale tą razą żadnego usłyszeć niemożna było słowa; po długiem niemém uściśnieniu rozłączyli się.

Jakież to żywe wspomnienia obudziły w duchu Szczepana te krótkie odwiedziny! — Jakążto to on poniósł dla ojca swego ofiarę, gdy mimo najszczerzych swych życzeń towarzyszenia Ernestowi, przecież przy nim pozostał. — Wszakże nie bawmy tu, — bo trzeba nam się pospieszyć, aby skreślić smutniejsze jeszcze od niniejszych zdarzenia.

ROZDZIAŁ VIII.

W Rossyi.

Rok 1812 zawitał; Francya pisała prawa Europie, bo jej potęga była wielka. Hiszpania tylko wymagała wielkich ofiar, które bezkorzystnie niszczały, bo ten zacięty półwysep, jakby jaka odchłań pożerał tysiące ludu, a bez najmniejszej dla Francyi korzyści. Przecież w tém krytycznym położeniu trzeba było myśleć o wystąpieniu przeciw narodowi, który zagrażał zwyciężkim orłom Francyi. Zamknięta w swych granicach, nagłona do odgrywania roli podrzędnej, usiłowała Rossyja skruszyć te więzy, które jej włożyć chciano. — Zwłócząc, aby tem pewniej ugodzić, od roku 1811 układała się leniwo z Francją, aby zyskać na potrzebnym

do uzbrojenia czasie, i zebrać odpowiednie nieprzyjacielowi siły; rachując z resztą na trudności, jakie i rozległość kraju i ostry klimat jemu stawia. I Francya nie bita w ciemię śledziła myśl Rossyi, i mimo życzeń gotowała się także do wojny, grożąc swoją potęgą.

Ernest który dotąd dzielił niebezpieczeństwa i przykrości wojenne w Hiszpanii, sowiec za takowe był wynagrodzonym; prócz prędkiego awansu, zyskał sobie wiele przyjaciół, i sądził że dotychczasowe jego powodzenie jest przepowiednią jego przyszłości. Szczęśliwe marzenie! — Marzenie? — Bo przyszłość, każe walczyć z innym, nie z hiszpańskim narodem; — nie pod pięknym niebem ciepłego i zycznego kraju, lecz na polach złodowaciałych, wśród najżywiej dokuczających niedostatków. — Przecież on o tem nie myślał, bo był w owęj szczęśliwéj porze życia ludzkiego, gdzie wyobraźnia żywa tworzyć zwykła pałace napowietrzne, swobody anielskie, zakrywając temi złudzeniami rzeczywistość życia ludzkiego. — Ani przypuszczał tego, żeby mu kiedyś źle iść mogło; zresztą przechód przez Francję, coraz nowsze i więcej zajmujące widoki, nadzieja, że

kiedyś wróci szczęśliwy do ojczyzny, do swego lubego przyjaciela; że wynajdzie swoją dotąd nie znaną należycie familję, której ślad znalazł na cmentarzu; — wszystko to razem nie dało miejsca trwożliwym myślom w duszy Ernesta.

Złączywszy się armia francuzka, z austryjacką, pruską i wojskami pomniejszych państw niemieckich, przeszła Wisłę. Była to potężna siła, licząca 477,000 wojska, z odpowiednim przyborem, opatrzona we wszystko aż do zbytku, o ile karność takowy znieść mogła, że można było przepowiedzieć, iż odniesie zwyciężkie wawrzyny. Wszakże, nie od liczby wojska zależy zwycięztwo, dzielność jego zależy od pomocy nieba; bardzo trafnie ziściło się tu to zdanie Ducha Bożego. Skoro tylko ta wielka armia przekroczyła granice rosyjskie, natychmiast poczęła walczyć, z najdotkliwszym niedostatkiem, który był zwiastunem okropnych nieszczęść, jakie później nastąpiły.

Mimo to otworzono wyprawę pamiętnemi zwycięztwy. — Wojnę wydano 22. Czerwca 1812. — a 24. przekroczył Napoleon rzekę Niemen; wziął Wilno, Witebsk; pobił

Rossyan przy Ostrownie, Połocku, Mohilewie, Smoleńsku, a w ostatnich dniach Września stanął pod Borodynem, trzydzieści mil od drugiej stolicy rossyjskiej, od Moskwy.

Ten marsz, któremu opierały się nie ostatnie przeszkody, to dzielność rossyan, to niszczenie wsi i żywności ogniem przez samychże obywateli, aby w ten sposób ująć nieprzyjacielowi wszelkiej możebnej pomocy, — ten mówię marsz miał w sobie coś podziwiającego i jest oczewistym dowodem wytrwałości i waleczności armii francuzkiej. — Nie jest moją myślą opowiadać tryumfy i cierpienia tych bohaterów, jeden tylko z nich zająć powinien naszą uwagę.

Jak wszyscy towarzysze broni, tak i młody Malwan znosił wszelkie przykrości i trudy wojenne z równem mężstwem jak wytrwałością; a obok tego odznaczał się w zdarzonych sposobnościach odwagą i przezornością o tyle, że jego Jenerał z dniem każdym widział się być więcej dla niego zobowiązany.

Jak się już nadmienilo stała armia francuzka po rozmaitych utarczkach pod Borodynem; tu 7. Września wygrała sławną bitwę, gdzie zwyciężeni Rossyanie 30,000 zabi-

tych i rannych na pobojowisku zostawili. Nim przecież to zwycięstwo Francuzi odnieśli, spotkało Ernesta wielkie nieszczęście. Wieczorem przed tą bitwą, wyjechał z swoim Jenerałem zwiedzić przednie czaty, aby się przekonać osobiście o położeniu swoich i nieprzyjaciół; przyczem wpadł Jenerał na podjazd nieprzyjacielski, który nań uderzył. Ernest rzucił się na nieprzyjaciela, odbił Jenerała, ale sam padł ofiarą; bo otoczony przewyższającą siłą, znacznie poraniony, nie mógł podążyć za Jenerałem, który w ciemności i pośpiechu nie dostrzegł, iż Ernest pozostał; gdy ten tymczasem wpadł w ręce Rossyan.

Kilka dni, w skutek odebranych ran, był Ernest całkiem bez przytomności; stracił krwi osłabiony, febrą rannych dręczony, nic o tem nie wiedział co się z nim stało. — W czasie gdy zwycięzka armia śpieszyła do Moskwy; on leżał w biednej chatce bez wszelakiej lekarskiej posługi. Chłopiec czternastoletni strzegł go, i o ile się zdołać na to zdołał, służył mu; jego posługa była wprawdzie nie szczególną, przecież Ernest w przeciągu dni kilku cokolwiek przyszedł do siebie.

Jakież uczucia opanowały ducha jego, gdy

otworzywszy oczy dostrzegł, w jakim ręku się znajduje, i pomierzył ogrom swego nieszczęścia! — Był to moment okropny a mimowolne łzy skropiły jego oblicze! Właśnie na dobiecie nie znał rosyjskiego języka i nie mógł żadnej powziąć wiadomości, o wypadkach armii francuzkiej; tyle tylko ze znaków swego stróża mógł wyrozumieć, że ta po walce oddaliła się od miejsca tego, co Ernesta tem więcej zmartwiło.

Dotąd spodziewał się: że jego Jenerał, który tak wielce do niego był przywiązany tem więcej usiłowań przyłoży, żeby go wynaleźć i z niewoli uwolnić, że to winien temu, który się stał zań ofiarą; lecz powziawszy pewną wiadomość, iż armia się oddaliła, nie wątpiał, że usiłowania Jenerała musiały być bezskuteczne — i smutek opanował go ze wszystkim. Przeto zupełnie na to był obojętnym, że go po kilku dniach włożono na byle jakie wozisko, i przez dwa dni, w najlichszą pogodę, bez wszelkiego opatrzenia, wieziono. Jego stróż dawał mu i tu możebne dowody przychylności, gdy sam siebie z ubioru ogołocił, aby chorego od dżdżu ochronić; gdy zziębłe jego ręce w swoich trzymając, lub na

nie chuchając rozgrzewał. Ta przychylność młodego Rossyanina, była jakowąś pociechą dla tkliwego serca Ernesta; czytając w jego oczach, że przecież jedna dusza umie z nim współcierpieć, pocieszał się w strapionem sercu. Ale i tę pociechę przyszło utracić. Po przybyciu bowiem do przeznaczonego sobie miejsca, jakiejsiś twierdzy, gdzie jako niewolnik miał być więzionym, pożegnał go ów litościwy stróż, co tak dalece Malwana ubodło, iż gdy go z woza zdejmano zdawał się być bliższym śmierci niż życia. Gdy go złożono na słomie, zasnął, i ustało zmartwienie.

Na drugi dzień opatrzył rany Ernesta zręczny hirurg, co mu wielce ulżyło; więcej przecież swęj młodości i nienadwerżonym siłom ciała, niż pieczołowitości i pożywieniu winien był powrót do mocy i zdrowia. Z postępem w zdrowiu, począł postępować i w mocy ducha; w początkach swego pojmania czepiła się umysłu jego ponurość, jakieś rozpaczliwe myśli, teraz począł szukać pociechy w zasadach religijnych, w Bogu. „Mój Boże — tak się modlił — wszakże to Twoje jest rozporządzenie, że ja cierpię; — Ty mi ten kielich goryczy posyłasz, i jesteś mi tu przy-

tomnym, a czyżbyś Ty Ojciec chciał mię przeto nieszczęśliwym uczynić? — O nie! — Ty zamierzasz bez wątpienia dać mi w tém dowód szczególnej, choć mi w ten moment nieznamomej, łaski. — Uznaję, że mi wypada poddać się mężnie i spokojnie Twoim świętym rozporządzeniom. Wszakże o Boże! dodaj mi sił, ażebym ten krzyżyk, jako z rąk Twych pochodzący, przyjął z wdzięcznością, bez narzekań i niecierpliwości. Bądź moją pociechą i wsparciem!“

O jeżeli nieskalane serce w takiej myśli woła do Boga, Jego pomoc nie opóźni się! — a choćby cierpienia dochodziły stopnia najwyższego, pociecha znaleźć się nie omieszka, bo miłosierdzie Boże rośnie z naszym zaufaniem. Temuto zdaniu się na wolę Najwyższego winien był Ernest swoje całkowite uzdrowienie, bo jak skoro zabrała spokojność miejsce dawnego wzburzenia, które boleści jego zwiększało, nie tamowało nic więcej powrotu do zdrowia.

Inną jeszcze korzyść wydał takowy religijny sposób myślenia, a tą był szacunek, jaki sobie takim usposobieniem umysłu zjednał u tych, co z nim obcowali. — Osobliwie

lekarz nie mógł dosyć nadziwić się mężstwu, z jakim młody Francuz znosił swe cierpienia, co go pobudzało nie tylko do obchodzenia się pełnego litości z cierpiącym, ale nawet do osobliwego zachwalania go komendantowi placu, a to — jak zobaczymy później — nie było bez wielkiej korzyści.

Tymczasem armia francuzka wkroczyła do Moskwy, a Napoleon mając w ręku drugą stolicę państwa, nie wątpił, że na jego stronę korzystny rozejm nastąpić musi. Lecz mocno się w téj rachubie pomylił, bo jak od samego początku wojny niszczeniem osad, które wpadały w ręce nieprzyjaciół, a przeto ujmowaniem tak żywności jak przytułku, dokuczać wojsku i wszelkim zasobom francuzkim Rosyanie postanowili, tak wierni swemu postanowieniu, i wspaniałe miasto Moskwę na pożar wystawili. — Umieili przezornie zwłóczyć układy pokoju aż do zimy, a tymczasem naskupiawszy materiałów palnych, rozpuściwszy więźniów i zleciwszy im spalenie miasta, przymusili francuzów opuścić Moskwę, i tak przygotowali im ów okropny odwrót, który Europę okrył żałobą i Cesarza strącił z tronu zagroził.

To zajście wywarło najnieprzyjemniejszy wpływ na więźniów francuzkich, a w szczególności i na Ernesta Malwan. Po 19stym Października 1812 to jest po wyruszeniu Francuzów z Moskwy, obostrzono znacznie karność tyczącą jeńców. Wojna z cofającą się armiją francuzką nie ustała, a zemsta Rossyan o tyle przeciw cofającym zaciętszą się stała, o ile więcej ten naród ponosił ogromnych ofiar ku zwalczeniu nieprzyjaciół.

Ernest nie wiedział początkowo nic o odwrocie swoich, chirurg fortecy p. Saraj który sam jeden tylko był upoważnionym mówić z jeńcami pojedynczo uwięzionymi, lubo był w stanie porozumieć się z nimi w francuzkim języku, przecież strzegł się zadawać w polityczne rozmowy i zbywał milczeniem pytania tyczące się stosunku obu narodów; od niego nie można było dowiedzieć się o nieszczęściu Francuzów.— Po surowości przecież jakiej jeńcy doświadczali, domysleć się można było, że położenie armii nie osobliwe, że czeka ich los bardzo smutny; każdy przeto żegnał się w głębi ducha swego z ojczyzną, jakoż wkrótce obawa ziszczoną została.

W końcu Października pewnego zimnego poranku, dał się słyseć w podwórzu twierdzy pod oknem Ernesta szelest, jak gdyby uwijających się jezdnych, i gwar jakby znacznej liczby ludzi. Ciekawy coby to znaczyć miało, wskrobał się Ernest po ławie do okienka i zobaczył oddział kozaków w okręgu stojących, w środku zaś nich około trzydziestu jeńców różnej broni i rozmaitych stopni; wszyscy nosili oznaki okrutnej nędzy, ale postawa ich odznaczała godnie żołnierzy stojących w obec nieprzyjaciół.

Żaden wyraz nie jest zdolen wytłomaczyć wzruszenia, jakie w Malwanie zrobił ten widok! Trzebaby samemu dzielić było utrapienia niewoli i posiadać równie tkliwe serce, żeby należycie pojąć, co czuł, zobaczywszy rodaków w nieszczęściu. Nie znał z nich żadnego, alećto byli jego koledzy, jego rodacy, on był gotów wszystkich jak braci uściskać, wszystkim wynurzyć swoje najtkliwsze politowanie! —

Biedny Erneście, myśl ty raczej o twojem nędzném położeniu! — W tém wchodzi pan Saraj; — zdaje się mieć coś dręczącego na

sercu, i odzywa się z większą jeszcze jak zwykle uprzejmością:

„P. Malwan, przychodzi czas naszego rozłączenia! Jeńcy, których tu dotąd oczekiwano, nadeszli, tutejsi złączą się z nimi, i pan udasz się w inne miejsce swego przeznaczenia.“

„Dokąd? — Zaklinam pana na wszystko, powiedz, dokąd nas poprowadzą?“

„Wybacz; obowiązek nie każe mi o tem mówić.“

„Przynajmniej niech wiem, czy się ku ojczyźnie zbliżymy?“

„Nie! — Nie chcę cię zawodzić, nie pójdziecie drogą ku Francji..... Z tém wszystkim bądź mężnym, i słuchaj mię: jeżeli chcesz pisać do ojczyzny, ja się podejmuję listy takowe przesać. W tej zaraz chwili nie jest to wprawdzie dla zawieruch wojennych podobna, ale daję ci słowo uczciwego człowieka, że jak skoro się cośkolwiek uspokoi, listy twe dojdą swego przeznaczenia. Przecież jeden warunek położyć ostróżność każe, iż nie powinny być zapieczętowane.“

„Mniejsza o to, skoro dojdą rąk moich drogich przyjaciół.“

„Na to masz moje przyrzeczenie. Tu oto papier, pióro i atrament. Pospiesz się, bo tylko jedną godzinę masz czasu.“

Wyszedł lekarz, a więzien zaczął pisać, do Szczepana, swego Jenerała i ks. Bonnewal swego zacnego nauczyciela. — Nie sądzę, żeby była potrzeba opowiadać co pisał, bo jego obecne położenie domyśleć się każe; nadmienić tylko powinienem, że nie rozpisował się z małodusznymi żałami, lecz prosto opowiadał położenie swoje. — Zaledwo skończył, wrócił lekarz, odebrał listy, a zapewniwszy go, że jak skoro najbliższa sposobność się podarzy, listy dojdą niezawodnie przeznaczenia, na podziękia Ernesta odrzekł:

„Nie dziękuj mi, bo ja mam ztąd wielką radość, iż ci się przysłużyć mogę. Poleciłem cię dowódcy oddziału, mającemu was prowadzić, i dałem mu list do przyjaznej mi osoby w miejscu, do którego was poprowadzą; spodziewam się, że to złagodzi położenie twoje. Przeto bądź mężnym. Uważałem, że masz piękne zasady religijne, a te ci niezawodnie dopomogą do cierpliwego znoszenia brzemia nieszczęść twoich, za

które prędzej czy później Bóg cię wynagrodzi; w Nim też połóż swą nadzieję.“

Tak mówiąc wprowadził Ernesta na podwórze; tu ścisnął mu rękę, polecił go do wódzcy kozaków, i oddalił się unosząc najczulsze podziękia Ernesta.

To piękne uczucie wdzięczności wnet spłoszyło przerażenie, bo skoro tylko Ernest wszedł w koło swoich towarzyszków broni, a obecnie nieszczęśliwych współnie-wolników, usłyszał te okropne słowa: „nie-ma już żadnej nadziei! — Nasza armia wraca do Francji, a my już z nią na zawsze rozłączeni! — Żegnamy cię na zawsze droga ojczyzno, już cię więcej oglądać nie będziemy!“ —

„Boże! — Jużżeto niema dla nas żadnej nadziei? — Prawdażto, iż es nas przeznaczył na to, abyśmy w zlodowaciałych stepach życia kończyli, i nigdy już lubych naszych przyjaciół nie oglądali? — O Szczepanie! jakaż będzie boleść twoja!

Tą myślą złamany nie pytał już o nic więcej nieszczęśliwych swych kolegów. W tém momencie, gdy otworzono bramę twierdzy, ażeby wypuścić nieszczęśliwe ofiary i pro-

wadzić je w głębszą niewolę, w więcej jeszcze dokuczającą nędzę; przybiegł jeszcze raz lekarz i oddał mu w szlachetnym uczuciu politowania zawinięcie z żywnością.

„Na Boga zaklinam pana — odrzekł Ernest, — odpowiedz mi, czy jest nadzieja, iż wkrótce niewolnicy obu nieprzyjaznych narodów będą wzajem wymieniani?“

„Tego nie wiem! — odpowiedział smutny lekarz. — Powtarzam przecież najuroczyściej, że wszystkiego, cokolwiek w mej mocy, dołożę, żeby twoje skrócić nieszczęście!“

Tu kozak zawołał aby spieszył za drugimi; trzeba było być posłusznym; drzwi się zamknęły.

ROZDZIAŁ IX.

Niszny Nowogrod.

Po opuszczeniu twierdzy mieli jeńcy bardzo przykry pochód: nie mogąc dosyć śpiesznie postępować tém więcej ściągali na siebie złość kozaków, że ten surowy żołnierz nie-nawidził francuzów, jako najeźdźców swęj ojczyzny; — ci co przez brak sił nie mogli podążyć za gromadą, popędzani byli niemi-łosierdzie pletniami. Takowe okrucieństwa dokuczały nawet i tym, co ich niedoświadcza-
li, bo każde uderzenie obijało się bo-
leśnie o serce każdego francuza. Wnet zna-
lazły się nowe boleści: zimno coraz więcej
się zwiększało; deszcz ze śniegiem prze-
maczał ich i tak poszarpany ubiór, a gdy
nadszedł wieczór, gdzieby wypocząć nale-

żało, napędzano ich zwykle do stajen bez
należytego pokrycia, żywność bywała tak
licha, że nie zdołała pokrzepić nadwątlonych
sił, jeżeli ją można było do ust włożyć.
Mało bardzo zdołało przewyciężyć tokową
nędzę, wielu padało po drodze trupem, lub
zostawieni byli w lazaretach, gdzie zwykle
marną umierali śmiercią.

Zaufanie w Bogu, i nie wyniszczone wy-
brykami siły cielesne sprawiły, że Ernest
nie uległ, tym wszystkim nieszczęściom. —
Lubo i to przyznać trzeba, że dowódzca
kozaków na prośby lekarza obchodził się z
nim nierównie znośniej, jak z innymi; na-
wet podawał mu tajemnie lepszą żywność
jak innym, któraby była zaspokoila potrzeby
jego należycie, gdyby jęj był użył dla siebie
samego. Lecz że widział zawsze między
kolegami nierównie biedniejszych od siebie
i więcej potrzebujących zasilenia, przeto
dzielił się z nimi, a czasem wszystko ro-
zdawszy, sam przestał na nędznej strawie. —
Takie ofiary, które Bogu i bliźnim swym
składał, wynagradzały go w inny sposób,
to jest wewnętrzną pociecha, jak daje speł-
niony dobry uczynek; a jeżeli dokuczał mu

głód, starał się uważaniem sobie okolic, przez które przechodził, rozerwać.

Ale te były mało zdolne, ażeby umysł człowieka, który przeszedł Europę, zając i roztargnąć: ze wszystkich stron przedstawiał się oku obraz jednostajny i goły, który nie był w stanie rozweselić serca, które kosztowało niegdyś z przepychu natury, jakim odznacza się Hiszpania i Francya. Gdziekolwiek rzucił okiem, widział jakąś rażącą dziczą obumierającą właśnie ziemię, a na niej okiem nieprzejrzane bagna, nie płodne piaski, smutne bory. Choć Rosssya kraj rozległy, ma rozliczne okolice, to przecież te wszędzie przedstawiają oku tęż samą puszcę, z jej cichością i żalobą. Szerokie rzeki kraj ten przerzynające, tak są bez wszelkiej farby, jak i cała okolica. Nieregularne raz szerokie, raz wązkie przez piaski ciągnące się drogi, są tak dla ludzi, jak i dla bydła uciążliwe. Tu i owdzie spostrzeżesz po obu stronach uciążliwych dróg, dwa szeregi małych, z gliny i drzewa zbudowanych, upstrzonych malowanemi szczytami chatek, za którymi leżą pola i pastewniki otoczone pokrywionemi brzożami. To są rossijskie wsie;

jedna równa zupełnie drugiej, jak równe są okolice w których leżą, jak równe rzeki które oneż oblewają; nigdzie nie spostrzeżesz bawiącej oko odmiany. Trafi się gdzie niegdzie dwór, zamieszkanie szlachcica; ale ten nie jest zdolen dodać uroku okolicy, zawsze smutnej i posępnej. — Przyzna przecież cudzoziemiec z zadowoleniem w twarzach ludu rossijskiego wyraz spokojności; ową miłą regularność, czerstwość; w obyczajach prostotę i czystość; — zgoła to co przypomina owe piękne patryarchalne czasy, od których nas nasza cywilizacya tak wielce oddaliła. W żadnym kraju nie znajdziesz tak pięknych starców, jak w tym ostrym klimacie, ich gołe czoła, ich białe jak srebro włosy, ich łagodne i wesole spojrzenie, wywołują uszanowanie, jakie się winno nie-nagannęj starości.

Widok tych spokojnych ludzi, tych biednych chatek, w których niewinności i szczęście zdawało się z sobą łączyć, wzbudzał potężne wspomnienia w ducha Ernesta. Takto zdarzające się po drodze rozrywki, coraz smutniejszym go czyniły. Spodziewał się, że widok miast rozweselić go zdoła, ale

kozacy stosownie do rozkazów mijali miasta, a tak Ernest zdaleka tylko niektóre widział, żadnego nie zwiedzając w przechodzie.

Prócz tego droga była co raz uciążliwsza; od kilku dni szli wzdłuż rzeki Wołgi, i bywało że trzeba było przeprować się przez poboczne strumienie, a to na licho z desek zbitych promach, i tak być co moment wystawionym na niebezpieczeństwo zatonięcia; — albo trzeba było skrabać się na srome brzegi, aby potem spuszczać się w parowy, i przechodzić niebezpieczne mosty na bystrych położone rzekach, a to wszystko brodząc pokolana w śniegu. Co przy tem wszystkim nieszczęśliwych aż do rozpacz przywodziło, to było owo ciągle bez wszelkiego odpoczynku trwanie tych wszystkich uciążliwości, których końca nie widzieli. Nie wiedzieli dokąd ich prowadzą i dopytać się też z powodu nieumiejętności języka rosyjskiego nie mogli.

Już dwadzieścia dni byli w nieustannej podróży, gdy powstała wielka zawierucha, śnieg sypał gęsto, wichur rozpędzał go na wszystkie strony, nie widzieć ani drogi, ani światła, a przytem dokuczliwe zimno. Spo-

dziewali się więźnie, że takie położenie rzeczy spowoduje odpoczynek, nie sądzili bowiem, żeby ich stróże mogli być tak okrutnymi, iżby ich mieli prowadzić dalej w tę porę, gdzie i tulącego się pod strzechą psa źle było wygnać z chałupy. A przecież to wszystko nie wstrzymało okrutnych w marszu, i żadnego nie wywarło wpływu na uczucie litości, bo byli tak zimnymi i nieczułymi jak ich kraj i klimat. Trzeba było hrnąć dalej po śniegu, drapać się przez zasypane chrusty, obalać się przez pokryte śniegiem, zawalające drogę drzewa, a tak kaleczyć ciało, tłuc kości i cierpieć ból ran, które mróz powiększał. — Do rozpacz właśnie tem wszystkim przyprowadzeni nieszczęśliwi, których od kilku set, na dwadzieścia i pięć zmniejszyła się liczba, wydawali serce przerażające jęki i życzyli sobie śmierci, nie upatrując innego końca swych nieszczęść. Nawet Ernest, którego męztwo dotąd niczem nie mogło być złamane, opadł zupełnie na siłach; dwudziestego drugiego dnia, z głodu i przeziębienia padł zemdlony, a spojrzawszy w niebo i błagając je o litość, został bez zmysłów. Koledzy jego, którym podczas

marszu tyle wyświadczał łaski na widok nie-
szczęścia swego dobroczyńcy i pocieszyciela
rzewnie zapłakali, i rzucili się do przebudze-
nia omdłałego, lecz żeby go odkopać ze śniegu
i podnieść, zbywało im na siłach.

„Barbarzyńcy! rzekli do eskorty, dozwól-
cie nam tu z nim umrzeć, albo nas tu dobij-
cie, bo widzicie, że dalej iść nie możemy.“

Komendant eskorty, zsiadł z konia, pod-
niósł Ernesta, wpuścił mu w usta kilka kropli
okowity i obudził omdłałego. — Kazał jeńcom
rozdać nieco żywności, i usiłował ich tém
pocieszyć, że są już blisko celu swój podróży.
Jakoż odpocząwszy i pokrzepiwszy się, gdy
uszli około ćwierć mili, ujrzeli miasto, które
nazwano Nisznej Nowogrod i ostatnią metą
ich podróży.

Jeńcy wyrozumieli dopiero, w której czę-
ści Rosyi się znajdują, zwłaszcza że im to
miasto, sławne z wielkich jarmarków, zna-
jome było z jeografii; malownicze zaś jego
położenie obudziło w nich podziwienie.

Wyższa część tego miasta leży na górze,
która tworzy przylądek łączących się dwóch
rzek Wołgi i Oki; dwie te znakomite rzeki
czynią położenie tego miasta nietylko powa-

bnem, lecz co więcej do handlu bardzo spo-
sobnem; panuje ono nad wielką płaszczyzną
i ma, jak zwykle znaczniejsze miasta rossyj-
skie, swój Kreml, czyli zamek, na najwyż-
szym punkcie miasta położony.

Ta twierdza zainteresowała naszych po-
dróżnych najwięcej, bo się domyślali, że bę-
dzie ich więzieniem, i lubo im ten domysł
nie był ze wszystkiem na rękę, przecież po
tylu cierpieniach i nędzy, życzyli sobie ja-
kiegokolwiek bądź spoczynku: przeto zziębli
i znużeni podróżą nie odwracali swych oczu od
jēj murów, radziby byli stanąć w niej w ten
moment, hyle ukończyć swą biedę. — Nie
dziw! kto spełnił kielich goryczy aż do osta-
tniej kropelki, nie jest wybrednym w swoich
życzeniach, i chwytą to z wdzięcznością, co
szczęśliwy z pogardą od siebie odpycha.

Wreszcie weszli jeńcy w mury miasta
i znaleźli wprawdzie inne twarze od twarzy
swych okrutnych stróżów, ale wszystko i tak
było im obce, nieprzyjaźnią nacechowane;
nigdzie nie dostrzegli błęgiego politowania,
tak właściwego sercom czułym. To doświad-
czenie dotknęło boleśnie ich serca, że mó-
wili między sobą: „O jakże to tu jest inaczej

jak w naszej ojczyźnie! — Tam każdy wygnaniec znajdzie poszanowanie, litość i wsparcie, jego dolę łagodzące. — A tu? — Ach, my naszej ojczyzny już pewnie oglądać nie będziemy!“

Pod nawałem tak smętnych myśli weszli w wielkie podwórze kremlu, znaleźli tam uwięzionych swoich rodaków, ale ci musieli przenieść się na inne miejsce, i tylko pozdrowić mogli z daleka swoich nieszczęśliwych towarzyszków.

Zbliżała się noc, śnieg padał gęsty, a nieszczęśliwi przeziębli i podróżą zmęczeni musieli stać nieporuszeni na tej słocie przeszło pół godziny; oczekując komendanta, który ich chciał wprzód widzieć, zanim do więzienia wprowadzeni zostaną. Po upływie pół godziny przyjechał komendant na dzielnym koniu, wśród świetnego orszaku oficerów; przy świetle pochodni obejrzał każdego jeńca pogardliwie, podług spisu który mu podał dowódzca eskorty. Po tem dopiero kazał ich wprowadzić do twierdzy.

Ci, co żyją wśród wygod i rokoszy, którzy przeto nie umieją zmierzyć nieszczęść, jakie człowieka w życiu tém ziemskim zna-

chodzą, nie pojną też tej radości, jaką nasi jeńcy uczuli, gdy ich wprowadzono do wielkiej dobrze ogrzanej izby, gdzie członki swe przeziębłe ogrzać mogli, do czego przez cały ciąg podróży na próżno wzdychali. W pierwszej chwili taką ztąd uczuli radość, że zapomnieli o swojej niewoli, i tej biedzie, którą przez dwadzieścia i dwa dni cierpieli; ale to zapomnienie miało tylko krótki trwać czas; bo po kilkogodzinnym pokrzepiającym spoczynku odżyło wspomnienie ich nędznego położenia, wraz ze wszystkimi męczarniami.

„O mój drogi Szczepanie! myślał sobie przebudziwszy się Ernest. Jakże to nas daleko rozłączono! Pewnie my to już nigdy w życiu widzieć się nie będziemy! Listu nawet od ciebie nie odbiorę, bo i odległość miejsc i wojna niepokojąca kraje, które nas przedzielają, nie pozwoli rozmówić się listownie. Biedny niewolniku! już o tobie i rodacy twoi zapomną, a kraj ten będzie twoim grobem, jeżeli Bóg na cię litościwie nie spojrzy!“

W tak smutnych zatopiony myślach, nie słyszał wołających go po nazwisku towarzyszków, dopiero gdy go jeden z nich ruszył za ramię, spojrzął i spostrzegł stojącego ros-

syjskiego żołnierza, dającego mu znak, iżby szedł za nim. Zdziwiony, że jego tylko samego wzywa, spojrział trworzliwie na kolegów, i poszedł za żołnierzem. Przeszedłszy kilka kurytarzów, a potem rozległy dziedziniec, weszli do murowanego domu, w którym azyatycki przepych we wszystkim tak dalece przebiegał, że aż Ernestowi w oczach się ćmiło; a gdy spojrzął w zwierciadło i spostrzegł swój nędzny ubiór, nie śmiał nie szczęśliwy podnieść oczu, aż gdy przyszło powitać komendanta, którego mieszkaniem była ta kamienica.

Na wspaniałej sofie niedbale leżąc, zaledwie zdawał się widzieć komendanta, że mu Ernest ukłon oddaje. Gdy na zapytanie: czy się zowie Malwan, tenże odpowiedział, że tak jest, odrzekł w te słowa:

„Jesteś mi Waćpan od pewnej osoby szczególnie polecony; przez wzgląd na tę osobę, zwalniam cię od prac, które twoi koledzy w twierdzy naszej wykonywać są przeznaczeni, a za to będziesz ich dozierać, żeby praca szła z pośpiechem i była wykonywana należycie. Powinnością twoją prócz tego będzie zdawać mi codziennie sprawę i odbie-

rać odemnie rozkazy. Jeżeli który z jeńców będzie miał jakie zażalenia, te mają mi być przez ciebie przedstawione.— Wiedz nadto o tem, że jeżelibyś kiedy nadużył mego zaufania, nie ujdiesz chłosty.— Zrozumiałeś? Teraz możesz odejść.“

W tym momencie weszło do komendanta kilka osób; Ernest musiał przeto ustąpić, jak mu kazano.— Wyszedł z domu komendanta, więcej jeszcze znękany, bo dumna względność tego człowieka zdała mu się być nowym nieszczęściem. Chętnieby się był rzekł tego uwzględnienia, bo mu się zdało, że przez to dotknie boleśnie swoich współrodaków; — z tego powodu wołałby był wspólnie z nimi dzielić najtrudniejsze prace, niż być powodowany urzędem napędzać ich do tychże i być w ich mniemaniu spółnikiem ich wrogów.

Jego koledzy, którym powierzył swoje upoważnienie i trapiące go myśli, uspokoili jego obawy, oświadczając, że im jego przełożenie jest miłe, i że nie dadzą żadnego powodu do nieprzyjemności. Zaraz dnia następującego wprowadzony został w swoje urządowanie jako dozorca. Jako takiemu

wolno mu było chodzić wedle upodobania po fortecy, co mogło być wielkiem zadowolnieniem, gdyby widok rodaków pod ciężką pracą i w niedostatku jęczących, nie był ranił serca jego. To właśnie ciążyło mu na sercu i powodowało nim, że jak mógł tak radą jak pracą usiłował im ulżyć.

ROZDZIAŁ X.

Wyjaśnienie.

Już trzy miesiące sprawował Ernest urząd dozorca w twierdzy Nowogrodzkiej; nie zaszła przez ten czas żadna odmiana w jednostajności jego zatrudnień. Nie mała przecież pociecha pokrzepiła ducha jego: uczciwem swém postępowaniem, niczem niezwichniętą sumiennością, niezmordowaną czynnością, zyskał sobie choć nie politowanie, to przynajmniej szacunek dumnego Komendanta, a ten rodzaj uwzględnienia stawiał go w stanie tu i owdzie ulżyć cierpieniom swoich kolegów. Wszyscy go też miłowali jak brata, jak przyjaciela, a ta miłość stawała się balsamem dla serca jego zranionego.

Nie tylko jeńcy którzy wspólnie z Ernestem odbyli ową uciążliwą podróż do twier-

dzy, byli celem jego starań i odnosili korzyści z jego litości: byli tam jeszcze i inni więźnie, którym także dawał dowody swego współczucia. Ci ostatni należeli do rozmaitych narodów, ale sprzymierzonych z Francją, i byli z powodu wojny francuzkiej uwięzionymi, mianowicie byli to ludzie, których Roztopszyn, komendant miasta Moskwy wkrótce przed wkroczeniem Francuzów do tego miasta, jako podejrzanych pochwytał i do Nisznjej Nowogrodu odesłał. Większa część tychże była tak na siłach osłabiona, że padała trupem pod nawątem swych prac. — Jeden z takowych, który mówiąc otwarcie takowe męczarnie złem życiem usprawiedliwiał, już nie żył; pozostawił po sobie żonę, która od-tąd oddała się zupełnej rozpaczy, i postępowaniem swoim zdradzała, że ją zdrowe zmysły odstępują.

Ernest nie miał jeszcze sposobności widzenia tej kobiety, która choć miała wolność przebywać w niektórych odleglejszych częściach dziedzińca, tuliła się przecież pospolicie po kryjówkach, ażeby na ustroniu bezprzeszkodnie oddawać się rozpaczy. Pewnego wieczora, gdy Ernesta powinność

poprowadziła w najodleglejszy zakątek twierdzy znalazł tę niewiastę siedzącą na kamieniu: gołe jej nogi zagrzebane w śniegu, odzież najnędrniejsza, cała wynędzniała, zsiniała, zaledwie znaki życia w niej dostrzedz można było. Nie mógł zdjęty politowaniem minąć tej nieszczęśliwej istoty i zbliżył się z nienacka do niej. — Mówiła do siebie samęj bez związku po hiszpańsku.

„Nieszczęśliwa kobieto! przemówił hiszpańskim językiem Ernest, oby Niebo raczyło ulżyć twoim cierpieniom!“

Niewiasta wzdrygnęła się i spojrzawszy dziko na Ernesta odrzekła: „któż tu mówi o Niebie?“ —

„Człowiek, który zna co jest nędza, lituje się nad tobą, i chciałby cię pocieszyć.“

„Pocieszyć? — odpowiedziała z gorzkim uśmiechem. — A czy zbrodnia może mieć pociechę? Czyto zgryzota sumienia nie jest wiecznym udziałem zbrodniarza? Czy ten może schronić się przed ścigającą go wszędzie katuszą którą sobie zgotował przez swą przeszłość, gdy ją wszędzie z sobą nosić musi? — Czy może odpędzić wspomnienia, które gryzą serce jego?“

„Rozpacz pomieszała widocznie rozum tej niewiasty, — mówił do siebie samego Ernest — może ona oplakuje jaki urojony błąd, i cierpi pewnie więcej z przywidzenia, nie dla utraty męża..... Gdy można było wybić jej z głowy tę nieszczęśliwą myśl.“

Usiłował to wzruszenie uspokoić łagodnymi słowy, i miał tę pociechę, że go spokojnie słuchała. Korzystając z tej momentalnej przytomności, namówił ją, że wróciła pod wyznaczoną sobie strzechę.

Ta scena zasmusiła dużo Ernesta: była to niewiasta z Hiszpanii, kraju, który go porównanie z jego ojczyzną Francją interessował, odnowiła zatem nie jedno smutne wspomnienie; a że to zbliżało go do niej, postanowił leczyć jej rany, które ją nieszczęśliwą czyniły.

Gdy na drugi dzień zastał ją na témże samem miejscu, zbliżył się ku niej ostróżnie, i mówił do niej o Hiszpanii, w nadziei że wzbudzi w niej jakie miłe wspomnienia. Z początku słuchała go z roztagnieniem, lecz gdy w dalszym ciągu wspomniął niektóre miasta, a między temi i Wittoryę, opuściło ją obłąkanie, poczęła załamywać ręce i rzewnie płakać.

„O ojczyzno moja! — rzekła — już ja cię więcej nie ujrzę! — Nie! nie ujrzę już twego pięknego nieba, twoich wdzięczących się pól, twoich wonnych łąk! Ale chociażbym i ujrzała, ach, tybyś mię z pogardą odepchnęła od siebie, ukarałabyś moją zbrodnię!

„Ona znowu błędnie mówi!“ — pomyślał Ernest i żeby usunąć trapiące ją myśli, chociaż sam smętny, począł nucić piosnkę hiszpańską, której w młodości się nauczył. Skoro tylko rozpoczął, pochwyliła go za obie ręce i z wielkiem wzruszeniem zawołała: „Dosyć już! dosyć! — Tą śpiewką rozdierasz serce moje!... Tą to samą uspokajałam dziecię, gdy je Ernano swą surowością rozdrażnił!“

„Mój Boże! odezwał się Ernest z podziwieniem, — czybyś ty była Pepytą?“

„Nie, ja się już dawno nie nazywam Pepytą,“ odrzekła hiszpanka w trwodze i pomieszaniu.

„Przebóg, kobieto! nie zrzekaj się twego imienia! — Uspokój się! nic ci się złego nie stanie! — przyznaj się że jesteś Pepytą, i wiedz, że ja jestem Ernest Malwan.“

Usłyszawszy to nazwisko, powstała chcąc

uciec, ale ją Ernest przytrzymał i posadził na kamieniu. — Spojrzała nań jak gdyby chciała obłąkane swe myśli zebrać i po chwili odpowiedziała: „Tak jest, — ja jestem Pe-pytą; — a jeżeli ty jesteś w istocie Ernestem Malwan, pomścij się; zabij mię, bo ja na to zasłużyłam. Łzy któremi się we dnie i w nocy zalewam od lat szesnastu, zgryzoty sumienia, które ponoszę, jeszcze nie uczyniły zadosyć za moję zbrodnię!“

„A czemużes ją nieszczęśliwa popełniła? Cóż cię mogło do tego spowodować, iżes mię pod ową górą porzuciła, gdzie, gdyby nie litość biednego pasterza, byłby mię niechybnie drapieżny zwierz rozszarpał?“ —

„Ach! — odrzekła nieszczęśliwa, ja czy- niłam wszystko, co mogło było odwrócić Ernaneego od tego niecnego uczynku, — ale on był dla mnie tak okrutnym, że nie było podobna oprzeć się. Zawiózł mię pod ową górę i okropnemi groźbami przymusił do tego, iżem śpiące dziecię w trawie porzuciła. Może mi nie wierzysz; ale tak rzeczywiście jest, jak powiadam. — Od tego czasu życie moje było ciągłą męczarnią, momentu spoko- jnego nie miałam! — Nie raz chciałam po-

rzucić Moskwę, dokąd się Ernano ze skra- dzionemi twojemi ośmdziesiąt tysiącami fran- ków, shronił, — chciałam uciec i rzucić się do nóg twęj babki i wyznać jęj wszystko...“

„Mojęj babce mówisz? — To ja mam je- szcze tak bliską krewną na świecie?“

„Ach, tego ja nie wiem, czy pani Mira- wel, która w czasie Emigracyi pozostała we Francyi, gdy twoi rodzice przesiedlili się do Hiszpanii, czy ona mówię przeżyła twoję zgubę. — Już śmiercią swęj córki znękana, oczekiwała jęj syna, w nim spodziewając się znaleźć ukojenie swego żalu, przeto pisała nam, abyśmy jak najprędzej do niej przyby- wali. Przed swoją śmiercią, zleciła mi twoja matka toż samo, a ja nieszczęśliwa naduży- łam jęj zaufania. — O! ta zbrodnia musi być ukarana! — Oto Ernano, który z rozpacz- y umarł, podaje mi rękę z wiecznych mąk, aby mię tam wciągnąć; — jego cień zawsze za mną chodzi i woła na mnie...“

Na te słowa zdawał się okropny strach przerażać nieszczęśliwą: jęj oko stanęło ko- łem, zimny pot wystąpił na twarz, wycią- gnęła ręce, jak gdyby chciała odepchnąć od siebie jakieś okropne widmo. — Po tém wy-

tężeniu nastąpiło osłabienie; po znacznym upływie czasu zdawała się przychodzić do przytomności, a widząc jeszcze stojącego przed sobą Ernesta, poczęła mówić słabym głosem: „W pańskiej twarzy, leżą wyraźne rysy dobroci i szlachetności twój matki, na Boga, przed którego sądem wnet stanąć będzie trzeba, zaklinam pana, miej litość nademną i daruj mi, co przeciw tobie przewiniłam!“

„Z całego serca ci daruję! — Biedna Pepyto, czemuż ja nie jestem w stanie dania ci dzielnej pomocy, czemuż nie jestem mocen wrócić ci spokoju twój duszy!“

„O! niech panu Bóg zapłaci twoją wspa-
niałomyślność! — odrzekła Pepyta, padłszy do nóg jego. — Teraz będę mogła spokojnie umierać, bo i Bóg mi mój grzech odpuści, skoro daruje wynagrodzenie ten, który został skrzywdzony! — Ale posłuchaj pan jeszcze, niech ci powierzę rzecz, która cię niezawodnie interessować będzie: jest tu kapłan z mojego narodu, jemu powierzyłam moją tajemnicę i w jego ręce złożyłam papiery które się tyczą pańskiego urodzenia. Matka powierzyła mi je przed śmiercią, a ja

o nich nigdy nie powiedziałam Ernanemu, bo onby je był bez wątpienia zniszczył; chowałam je pilnie, ażem je oddała rzeczonemu kapłanowi, iżby je przy sposobności zwrócił twój familii. Cieszyłoby mię to niezmiernie, gdybyś za pomocą tychże odzyskał to, co ci niesprawiedliwość wydarła. — A teraz bądź szczęśliwym panie Malwan, — pamiętaj bez urazy o nieszczęśliwej Pepycie; i módl się za jej duszę!“

Po tych słowach oddaliła się słabym krokiem, widocznie bliska zgonu. Malwan chciałby był jeszcze o wiele rzeczy ją pytać, ale sądził, że słabiej nudzić pytaniami nie należy, gdy prócz tego wiele ważnych dowiedział się rzeczy, a nadewszystko, że nadzieja znalezienia kiedyś swój familii w szczególności zaś swój babki, zajęła żywo myśl jego, i upoiła go marzeniem szczęśliwej przyszłości.

Po chwili takowego słodkiego marzenia, gdy spojrzął na mury fortecy i przypomniał sobie rzeczywistą obecność, mówił sam do siebie: „Nierozumny! i dajesz się uwodzić nadziei w tym nieprzyjacielskim kraju? Nigdy już swoich oglądać nie będziesz! takie jest

twoje przeznaczenie! — A ta jedyna osoba, pozostała z twej familii, którąbys ty tak chętnie widział, oplakuję twoją śmierć, i niewie o twojem nieszczęściu gorszem od samej śmierci!“ — I uronił kilka łez bolesnych.

Takto te odkrycia przyłożyły się do jego nieszczęścia; i gdy dnia następnego stanął przed komendantem nie mógł tenże nie wyczytać z jego twarzy dręczącego go smutku, w skutek czego nadzwyczaj łaskawie odezwał się w te słowa: „Donoszą mi wiele dobrego o Waćpanu, i ja z jego sprawowania się jestem zadowolniony; ale muszę Waćpanu powiedzieć, że w twojej gorliwości przechodzisz granice; — pocóż to kolegom nieść ulgę w pracach i pomagać im? — Pamiętaj, że masz ich tylko dozierać! — Pracą nadwężasz twe zdrowie, moja wola jest: masz się ochraniać. — Mają teraz być wykonane roboty po za twierdzą, żeby przygotować miejsca do nastąpić mającego jarmarku; do tego użyci będą wszyscy zdrowi więźnie; upoważniam Waćpana do dozierania robotników, ale zakazuje jąć się samemu prac ciężkich! — Znajdziesz w tej powinności

dosyć rozrywki i spodziewam się, że mi za nią będziesz wdzięczny.“

Jakkolwiek Ernest był dużo strapionym, przecież ta przychylna odezwa podniosła jego umysł; podziękował serdecznie komendantowi, a ośmielony jego dobrocią prosił o względy dla nieszczęśliwej Pepyty. — Ale te lubo przyrzczone już jój nic nie pomogły, bo podobało się Bogu śmiercią przeciąć jój cierpienia.

Gdy Malwan wyszedł od Komendanta natknął kapłana hiszpańskiego, tego samego, o którym mu Pepyta wczoraj nadmieniła; ten mu opowiedział, iż opatrzona przy dobrych zmysłach na drogę wieczności, w skrusze, dziś przed świtem zakończyła życie. Ze zlecenia umierającej oddał mu jego papiery, z których Ernest wyczytał, iż imię Malwan, które dotąd tylko domysłowo nosił, należy mu się w istocie; że jest rodowitym francuzem, że babką jego jest pani Mirawel posiadająca znakomity we Francyi majątek.

W innym położeniu byłoby to odkrycie skarbem nieocenionym, ale tu gdzie los jego już okrutnie zdawał się być zadekretowanym, sprawiło mu boleść i utrapienie; bo między

Francją i Rosyją trwała jeszcze zacięta wojna, której końca dostrzedz nie można było i zdawało się, że nim nastąpi pokój i rząd francuzki wyjedna sobie wydanie jeńców, oni tego pożądanego dnia nie dożyją. —

Pod tę porę, gdy takie smutne myśli trapiły Ernesta, zbliżył się czas prac poza twierdzą przygotowawczych do wielkiego jarmarku, o których wspomniał, jak się nadmieniło, komendant. Prace te były bardzo wielkie: trzeba było oczyszczać miejsce z ścieków, zasypywać wyboje, skopywać wywyższenia, budować szalasy z chróstu lub desek, zgoła przygotować wygodne stanowiska dla przybywających kupców, składy dla ich towarów. — Lubo to wszystko było z utrudzeniem dla pracujących jeńców, przecież cieszyło ich z drugiej strony to, iż pracują nie w stęchliźnie i wilgoci murów twierdzy, lecz na świeżem powietrzu; nie wolno im wprawdzie było przestawać z mieszkańcami miasta, aleć sam widok ludzi, sama nowość rzeczy pokrzepiała ich. — Z tem wszystkiem nie długo trwała ta rozrywka; wnet poczęli się zjeżdżać zagraniczni kupcy, a jeńcy ściągnięci zostali do twierdzy; zkąd

przecież mieli przepyszny widok na to drugie, chwilowo jakby z ziemi wyrosłe miasto. Widzieć tam można było ludzi ze wszystkich krajów w liczbie około miliona, rozłożonych między dwoma rzekami, w rozmaitych ubiorach, rozlicznych obyczajów, języków; — dostałeś tam wszystko, czegokolwiek zażądałeś, klejnoty, złoto, srebro, rozmaite wyroby jedwabne, wełniane, najpiękniejsze materje i płótna. Jarmark w Nisznjej Nowogrodzie jest najpierwszy i najznakomitszy w całej Rosyi, mówią nawet że na całym świecie: samych kupców na ten jarmark przybywających można do dwóchkroć sto tysięcy rachować; sprzedają zwykle towarów za sto milionów rubli.

Kiedy więźnie zapatrywali się na ten ruch rozmaitych ludzi, kiedy dochodził ich ucha szmer wolnych i wesotych ludów, a oni porównali z tem swe niewolnicze położenie, uczuli całą nędzę swego położenia, i twarz nie jednego zrosiła się gorzką łzą. — W takim stanie smutnym mówił Ernest: „Nie jeden z tamtych sądzi się przecież nieszczęśliwym; może narzeka na rozporządzenia Boże, trapiiony kłopotem lub pracą, choć jest wolny

i wróci do swoich. O! ci ludzie nie wiedzą, co jest istotnym nieszczęściem, co to jest być więźniem oddalonym od ojczyzny, od swoich, bez nadziei wrócenia kiedyś do swobody! Nie zazdrościć im ich wolności, może i na nas Bóg łaskawie wejrzy. Zresztą smutkiem nie odpędzimy naszej biedy, tylko nadzieja w Bogu może nas pocieszyć!“

Po sześciu tygodniach rozeszła się ta ludność, nastąpiła cisza; więźniowie wyszli znowu z twierdzy, ażeby uprzętnąć miejsce i rozebrać baraki; i była to chwila nowej rozrywki. Ale jak nic stałego nie ma na świecie, tak i ta miła przeminęła pora; nastąpiła przykra zima; żywność więźniom dawano i bardzo skromną i tak lichą, że trudno było posilać się takową; ztąd znowu wszczęły się choroby, tak dalece, że ku końcowi zimy liczył Ernest tylko dziesięciu towarzyszy. —

ROZDZIAŁ XI.

Niespodziewane zjawisko.

Jeżeli nieszczęśliwy widząc że jego nieszczęścia doszły do najwyższego stopnia, przecież doświadcza coraz nowszych i dotkliwszych nieszczęść: to w takim położeniu musi posiadać więcej niż pospolitą łaskę Boga i cnotę, jeżeli pod niemi nie ulegnie, ale je mężnie zniesie. Ernest posiadał taką dzielność ducha; wśród cierpień, z dniem każdym pomnażających się nie przestawał ufać Bogu, że wszystko przyprowadzi do dobrego końca; nie omieszkwał błagać Boga powierając mu siebie i cały swój los. A choć własne i kolegów utrapienia raniły delikatne jego serce, choć tęsknota za ojczyzną i drogimi jego sercu osobami, rozrzewniała go

nieraz, to przecież nigdy nie rozpaczał, owszem usiłował to uczucie przytłumić w sobie. Już nie budował swych nadziei na widokach świata tego, i przywykł już sądzić siebie jako obumarłego dla nadziei doczesnej, wierzył przecież, że po śmierci żyć będzie szczęśliwy razem z tymi, których kochał. — Wielka to pociecha dla człowieka Religią przejętego, człowiek upadły do stanu zwierzęcia nie zna jej i nie pojmuje onej.

Tedy i owedy przyszedł mu na myśl ów wspaniałomyślny lekarz któremu powierzył listy do swych przyjaciół we Francyi; nie wątpił o tem bynajmniej, że przyrzeczeń swych dotrzyma, nie wątpił też i o tém, że gdyby jego Jenerał odebrał list zawiadamiający o smutném położeniu nie omieszkałby użyć wszelkich środków, aby go z niewoli wydobyć, ale że od owego czasu drugi rok upływał, wnosił sobie, że wojna jeszcze uporczywie trwać musi, albo że ci, po których spodziewał się pociechy, może go już uprzedzili śmiercią. Spokojny, więcej na śmierć, niż życie liczący, widział jak koledzy jego jeden po drugim umierali, mniemał że i on nie ujdzie zarazy, zwłaszcza że

wśród nich żył, i im wiernie przyjacielskie oddawał usługi. Co mu jeszcze więcej świat ten uprzykrzało i niewolę uciążało, była ta okoliczność, że nie miał nikogo, z kimby się po przyjacielsku mógł rozmówić lub dowiedzieć, jaki wojna obrót, czy koniec wzięła; bo najzaufańsi koledzy poumierali, a on choć sobie dosyć zadał mazołu, aby nauczyć się cokolwiek języka rossyiskiego, i mógł rozmówić się z krajowcami, przecież nie mógł tego dojść, żeby mu cokolwiek o obrotach wojennych donieśli, o ile że w tym względzie niezłomne zachowywali milczenie. — Owóż Ernest sam właśnie jeden, opuszczony, cierpiał nieznośną tęsknotę, aż wreszcie i on wpadł w chorobę.

Zaraz w samym początku choroby, zdawało się, iż z niej nie powstanie. Dowiedziawszy się komendant o jego stanie, mimo nienawiści, jaką był ku francuzom przejęty, pamiętny na polecenie przyjaciela, posłał mu własnego lekarza, ale ten czy z nieznamości swjej szluki, czy z niedbałości, oświadczył, że chyba cudem może chory przyjsć do zdrowia, a przeto jego usługa była tak mizerną, że choroba z każdą godziną wzrastała.

Tak upłynęło już ośm dni, bez wszelkiej nadziei polepszenia; grób otwierał się przed nogami chorego, o czém on leżąc bez przytomności najmniej wiedział, ani zdolen był ocenić obojętność i opieszałość, z jaką go opatrywano; gdy tych najemników z zamrożonemi sercami zastąpił mąż, który lubo ich suknię nosił, przecież posiadał duszę szlachetną, pełną litości i przychylności.

Dzień i noc siedział ten mąż obok łóżka Ernesta, uważał pilnie na każde poruszenie jego, ażeby uprzedzić jego życzenia; wspierał go własnemi rękami, ocierał pot z czoła, i tak się gorąco a często modlił, jak matka, co chce u Boga wyprosić życie lubego jedynaka. A o tém poświęceniu Ernest najmniejszego nie miał poczucia. — Pewnej nocy, gdy febra cokolwiek zwolniła i chory momentalnie przyszedł do przytomności, uczuł jak jego posługacz ścisną mu zlekka po przyjacielsku rękę. Wzruszony tą przyjacielską oznaką, niezwykłą w tém nieczułem miejscu, usiłował przy blasku lampy poznać swego przyjaciela, lecz że futrzanna czapka okrywała po części oblicze jego, po części zaś cień go zasłonił, nie był zdolen osłabio-

nym wzrokiem dopatrzeć, kto jest ten dobroczynny człowiek. — Na próżno mu oświadczał swoje podziękowanie w rossyjskim języku, bo nieodebrał żadnej odpowiedzi; dał mu tylko znak ręką, aby milczał, i podał mu napój, którym chory posilony zasnął. Następującego dnia, znalazła się w prawdzie febra znowu, ale już nie tak silna jak dotąd; a chory miewając więcej chwil przytomności, lepiej uważał na swego dobroczynnego stróża, i więcej mógł oceniać jego troskliwość; ale i słowa nie mógł się od niego dobadać; za każdą razą odbierał znakami nakaz milczenia.

W końcu poczęła ustępować choroba, Ernest czuł że powraca do życia, choć był jeszcze dużo osłabionym. Pewnego poranku gdy się odecknął pokrzepiony spokojnym snem, wspomniął sobie na swoich odległych przyjaciół, westchnął serdecznie i wymienił ich nazwiska. Jego posługacz stanął właśnie przed nim, i uchwyciwszy wzmagającego za rękę siadł nagle na łóżku; Ernest czuł jak jego ręką drżała.

„Szczególna, myślał sobie, człowiek ten, słowa do mnie nie chce przemówić, a prze-

cież tak mi służy, jakby brat nie zdołał służyć troskliwiej. Zdaje się brać udział w mojem położeniu, cierpieniach, a nawet myślach. — Cóż to znaczy, że jest oczewiście wzruszonym, i czuję jak dłoń jego drży złożona w mej dłoni?“

„Wspaniałomyślny mężu! zapewne ciebie Bóg natchnął tém ludzkości uczuciem ku nieszczęśliwemu, który ci nawet podziękować nie jest zdolnym. Obowiązek nie mógł cię tak szlachetnym w usłudze uczynić, są tego pewnie wyższe sprężyny; niech ci to twoje postępowanie Bóg obficie zapłaci!“

Nic na to nie odpowiedziałwszy posługacz, powstał i ociągającym krokiem wyszedł z izby; ale niebawnie wrócił z komendantem.

„Panie Malwan, odrzekł komendant — słyszę, iż się masz lepiej; znajdzie się tu natychmiast mój lekarz, aby ci służył, a skoro się przekona o powrocie twoim do zdrowia, o którym wątpiał, a z którego ja się serdecznie cieszę, przeznaczy ci siły wzmacniające lekarstwa i pokrzepiające pokarmy, na których ci zbywać nie będziesz. Powiedzże mi, o ile cię ten nowy posługacz zadowalnia?“

„Ach mój panie komendancie, jest on największym dla mnie dobrodziejstwem! Nie wiem ja wprawdzie, jak długo ten poczciwy człowiek jest przy mnie, ale to pewna, że jego pieczy winienem życie. — Przyjacieli, najtkliwszy ojciec nie mógłby większej z siebie uczynić ofiary!“

„Nie wątpię o tem; to mu tylko jest przykrem, że się z tobą rozmówić nie może. Jest on z bardzo dalekiego kraju i nierozumie języka naszego, w którym się ty już dosyć dobrze wysłowić zdołasz. Jeżeli ci milczenie jego nie jest uciążliwe, to go na daliej przy tobie zostawię, w przekonaniu, że w troskliwości swój nie osłabnie. — Ale mam też mój panie Malwan zwiastować ci pomyslną nowinę, że twoje cierpienia wnet się zakończą.

„W istocie? — Masz pan Komendant wiadomości z Francyi? O drogi panie Komendancie, chciejże mi takowych udzielić, te będą skuteczniejsze nad wszelkie lekarstwa! Mój Boże! jak też to długo, że nic z ojczyzny nie usłyszałem!“

„Nie, nie. — Dziś o tém bliżej mówić z tobą nie mogę; krótko ci tylko powiadam, że niewola twoja, którą ja ile możności o-

słodzić ci usiłowałam, a która cię przecież, jak zwyczajnie niewola, tak dużo trapiła, kończy się. Bądź wesołej myśli, ażebyś jak najprędzej wyzdrowiała.“

Ztem odszedł komendant, a Ernest ucieszony tą pożądaną nowiną zawołał: „Mój Boże! jestże to prawdą, że jestem utaskawiony, i będę oglądał moją ojczynę, moich drogich przyjaciół, moję lubą chatkę?“

Jak gdyby ta nadzieja wróciła mu całkowicie zdrowie, porwał się nagle z łóżka; co widząc jego milczący stróż przyskoczył doń, aby go wesprzyć, a w pośpiechu spadła mu z głowy lisia czapka, i odstłoniła się twarz jego. — Ernest zobaczywszy jego twarz, krzyknął radośnie i obaj przyjaciele leżeli w objęciach swoich nie zdolni w tej chwili nic przemówić. —

Po chwili milczenia przemówił Szczepan, bo to był ten milczący posługacz: „O mój drogi przyjacielu! od czternastu dni jestem obok ciebie, cierpię z tobą i drzę z bojaźni, żeby cię nie utracić wtedy gdy cię odzyskał; tałem się przed tobą, żeby nagle poznanie nie pogorszyło choroby i wyszło ci na zgubę.“

Tak mówiąc skrapiał łzami oblicze przyjaciela, który nie był zdolny słowa odpowiedzieć na te wszystkie pieszczoty, tak nawet radości działał na niego; ale wyraz twarzy dość wyraźnie powiadał, jakiej doświadcza rozkoszy.

W tym właśnie momencie wszedł lekarz; spostrzegł głębokie wzruszenie chorego, lecz nie widział żadnego złego skutku. Przepisawszy uspakajające lekarstwa, zapewnił że wkrótce wróci pożądanie zdrowie, i odszedł.

Tymczasem uspokoił się Ernest i był zdolny wynurzyć swe uczucia w ten sposób swemu przyjacielowi: „Więc to nie sen! — Więc ty drogi Szczepanie jesteś istotnie przy mnie, twoja ręka leży w mojej; twój luby wzrok spoczywa na mnie! — Mój Boże! czyż ja się mogłem tego szczęścia spodziewać? — Ach, moje wszystkie nadzieje już znikły do szczytu: już sądziłem, że mi tu przyjdzie w tej nieprzyjaznej umrzeć ziemi; a oto Bóg cię posłał, ażebyś otarł łzy strapienia. — Jemu, temu miłosiernemu Ojcu składajmy dzięki! — Wszakci to ty jesteś najpierwszy któryś mię z Bogiem obeznał, i nauczył czcic tego litościwego Pana! Wszakci On tu w tém wię-

zieniu równie jak w naszym domku, gdzieś-
my Go czcili jest przytomnym; czcijmyż Go
i wielbmy z rozczuleniem obsypanych Jego
ojcowską łaskawością dzieci.“

Wzniósł chwiejące się z choroby w górę
ręce, a Szczepan kląkł pobożnie przy łóżku
i tak w milczeniu, duchem i prawdą składali
wspólnie dzięki Najwyższemu! — Po takiej
modlitwie począł Ernest badać Szczepana o
to wszystko, co mu leżało na sercu, a Szczepan
tak mu odpowiedział: „Twoi obaj przy-
jaciele ks. Bonneval i Jenerał G. żyją i z u-
tęsknieniem czekają momentu, w którym cię
powitać będą mogli. — Co do mego ojca, ten
już nie żyje. Umarł na mojem łonie spokojnie,
ciebie błogosławiąc. — O mój Erneście!
zdołałżebym ci opowiedzieć te wszystkie cier-
pienia, którem ponosił będąc sam jeden w
naszej chatce, gdzie mi wszystko jego i cie-
bie przypominało? Prawda iżś ty w czasie
twojej niewoli wiele ucierpiał, ale i ja godzien
byłem politowania!“

Po czem żądał Szczepan, ażeby przyjaciel
jego, jako znacznie jeszcze osłabiony, spo-
czął, należało się albowiem obawiać, iż za
długie natężenie ducha zły wpływ na ciało

wywrze. Skoro Ernest pokrzepiającym snem
orzeźwiony ocknął się, uczuł w sobie więcej
sił i zdrowia. Zdrowie też wracało sporym
krokiem, tak że w kilka dni mógł łoże swe
w części opuszczać. — Najlepszy to lekarz
zadowolnienie człowieka. —

Od tej doby jak choroba pomyślny obrót
wzięła, uwzględniał komendant cierpiącego
z szczególniejszą łaskawością. — Prawda że
i przedtem posiadał on jego względy, prze-
cież te zawsze były ograniczone prawem
i oględnością na innych współwięźniów;
uderzała przeto nie mało tak wielka odmiana.

Tymczasem opowiadał Ernest Szczepa-
nowi swoje zdarzenia których doświadczył
od czasu rozłączenia. Są nam wiadome, po-
wtarzać ich nie masz potrzeby. Po skończe-
niu opowiadania takowych żądał, aby się
Szczepan wywzajemnił, co ten jak następuje
uczynił:

„Od czasu jak uczyniłeś z siebie ofiarę
przyjaźni, zaciągnąwszy się za mnie do woj-
ska, nie miałem żadnej spokojności. We
dnie błąkałem się po górach, i zdało mi się
iż słyszę twój głos, wieczorem wróciwszy
do domu szukałem ciebie. Ojciec mój zgadu-

jąc co mię dręczy, mawiał mi o tobie i chwalił cię, a to mię pocieszało; przecież bojaźń, że w tej krwawej wojnie możesz życie stracić, przesładowała mię wszędzie. Listy, któreś do mnie pisywał, stały się moją jedyną pociechą, a pieniędzmi z twój oszczędności nam udzielonemi, byłem zdolen polepszyć położenie biednego ojca. Co do mnie, byłoby mi nierównie pożądansem widzieć cię osobiście. — I tego doczekałem, odwiedziłeś nas, a choć oficer, byłeś mi dawnym Ernestem. Ale jak to był krótki, tylko przelotny moment widzenia się naszego! Ciebie wołały obowiązki żołnierza do Rossyi, mnie nakazywały pozostać przy chorym ojcu. Przecież nadzieja: że gdy cię Bóg strzegł w wojnie hiszpańskiej, i w rossyjskiej nie opuści, pokrzepiała mię. Odbierane początkowo od ciebie listy żywiły tę nadzieję, z tém wszystkim co raz stawały się rzadsze, aż wreszcie całkiem ustały. Z tego powodu martwiłem się mocno; pociechy ojca i naszego sąsiada Piotra mało skutkowały. Ten ostatni chcąc zbić moje obawy, poszedł do Bajonny zaczerpnąć wiadomości o położeniu naszych w Rossyi, i przyniósł na nieszczęście wieść

o całkowitem rozbięciu naszej armii. Ta wiadomość zabiła mię ze szczętem; bo sądziłem, że i ty z wielu tysiącami poległych, utraciłeś życie. Ksiądz Bonnewal, który objął w tym czasie na nowo naszą parafię, usiłował mię pocieszyć zasobami świętej Religii, i przyznać muszę, że jej pociechy są wzniosłe i wielkie w zmartwieniach; przyznać trzeba, że Religia jest wsparciem niezłomnem zasmuconej duszy! — Nie doświadcza tego chyba ten, komu ta córa nieba jest obcą.

Nie ograniczył się na samém ustnem pocieszaniu, lecz rozpiisał listy do przyjaciół, ażeby zaciągnąć jakich o tobie wiadomości; ale tą drogą przyszła nam tylko niewątpliwa wiadomość o rozbięciu wielkiej armii. W tym właśnie czasie zabrała mi śmierć ojca, a mnie zdawało się, że już nic nie mam na świecie, coby mię tu wiązać mogło; miłoby mi na ów czas było pójść za wami do wieczności! Gdyśmy z ks. Proboszczem obaj smutni spotem siedzieli, nadszedł posłaniec z listem od Jenerała G., w którym skreślił swój smutek z twojej straty. — Dowiadywał się o ciebie, zaraz po twój zgubie, rozmaitemi drogami; nie zaniedbał nawet drogą urzędową wysle-

dziec twój pobyt, lecz to wszystko było na próżno, bo władze rossyjskie żadnej nie dawały odpowiedzi na zapytania o zabranych jeńcach wojennych. Tak więc byliśmy w zupełnej wątpliwości o twoim losie.

Ks. Bonnewal odpowiedział Jenerałowi na jego list, że go w krótkce odwiedzi w Paryżu, aby jeszcze powtórzyć kroki śledcze; mnie wziął z sobą w tę podróż, bo mi też i rozrywka w mym smutku była potrzebna. — Znaleźliśmy Jenerała porównie z nami bez pociechy. „Ażeby mię obronić — mówił — mnie życie ocalić, poświęcił samego siebie. W niebezpieczeństwie, o mnie więcej jak o sobie myślała ta szlachetna dusza; ja przeto jestem powodem jego nieszczęścia!“

Ks. Bonnewal i ja bawiliśmy ośm dni w domu Jenerała, uważani jako przyjaciele jego. Żona Jenerała, dama zacna, i jej piętnastoletnia pięknie wychowana córka, nie uważały na mój niski stan, uprzedzały mię grzecznością i dzieliły ze mną mój smutek. Wszakże to wszystko nie leczyło ran méj duszy, bo nasze starania, aby się o tobie dowiedzieć były próżne, i wypadało nam bez pociechy wrócić do domów naszych.

Nie długo potem, zapełnił się nasz kraj wojskiem nieprzyjacielskiem; oddalono Cesarza, a wprowadzono na tron Burbonów. Mnie to wszystko mało obchodziło, ponieważ mię tylko odgadnienie twego losu zatrudniało. Pewnego dnia, gdy pasłem moje trzodkę na owę górze, pod którą ciebie znalazłem, i tak dumałem o tobie, stawa przedemną ks. Bonnewal z twarzą wypogodzoną, trzymając list w ręku i rzecze: „oto list od Ernesta!“ Można się domysleć, com w tej chwili uczuł. — Bo jakkolwiek można sobie było wystawić, co ucierpiałeś w niewoli, przecież wiedzieliśmy przynajmniej gdzie jesteś, a nadzieja orzeźwiła nas, że cię oswobodzić zdołamy. Jenerał kupił tymczasem dobra w naszej bliskości, do niego się tedy udałem z ks. Bonnewal; a gdy nas zapewnił, że lekarz rossyjski, który listy od ciebie przywiózł, stoi w Paryżu, udaliśmy się do tamtąd aby coś więcej dowiedzieć się o tobie i przedsięwziąć kroki do twego oswobodzenia prowadzące. Gdyśmy przybyli do Paryża, zastaliśmy szczęściem doktora; tenże na większą naszą pociechę udzielił nam świeższych o tobie wiadomości, które

odebrał od komendanta Nowogrodu. Mąż ten szanowny wspierał nas dzielnie w naszym przedsięwzięciu, a że przez wzgląd na ks. Bonnewal osoby wyższe przyczyniły się za nami, przeto wyrobiono nam posłuchanie u samego cesarza Aleksandra, przytomnego na ów czas w Paryżu. Monarcha ten słuchał łaskawie przedstawienia ks. Bonnewal, i przychylił się do naszych życzeń, i ażeby rozkaz uwolnienia ciebie z większą pewnością do skutku przyszedł, rozporządził, aby mnie samemu tej rzeczy tyczące papiery powierzone zostały.

Możesz się domyśleć, z jaką wdzięcznością przyjąłem to rozporządzenie, i z jaką skwapliwością dążyłem dopełnić powinności; jaka radość towarzyszyła mi, gdym sobie wystawiał ten moment, w którym mię nad wszelkie spodziewanie zobaczysz. Podróż szła nader spiesznie, ale mnie się zdało, że konie lotem ptaka pędzić były powinny. Stałem wreszcie u pożądanego celu i udałem się natychmiast do twierdzy, żądając posłuchania u komendanta. — Po długim i nudnym półgodzinnym czekaniu stanąłem przed tym dygnitarzem: mój prosty ubiór nie zo-

bowiaływał go, lecz skoro przeczytał rozkaz Cesarza zmienił całkowicie swoje postępowanie, stał się grzeczniejszym. Ale gdym się nie mógł doczekać odpowiedzi, gdy czytał list po raz trzeci, zniecierpliwiony odrzekłem: „Na Boga, komendancie! nie chciej powstrzymywać mego szczęścia, i pozwól mi oglądać co rychlej mego przyjaciela; rozkaż mię zaprowadzić do jeńca, to rozkazuje twój Cesarz!“

„O! ja rozkazu Cesarza słucham; i sprowadziłbym tu tego, za którym tak tęsknisz, gdyby tu mógł stanąć, ale —“

„Cóż się z nim stało? — Mów panie! — Nie przedłużaj mych cierpień.“

„Pan Malwan jest chory, bardzo chory!“

„Jakikolwiek bądź jest stan jego, błagam pana komendanta pozwól mi widzieć nieszczęśliwego. — Jeżeli tego potrzeba, tak się przebiorę, żeby mię nie poznał.“

„Ta ostrożność nie potrzebna, bo leży bez zmysłów.“

„Te słowa dobiły mię do reszty: tyle tylko siły mi pozostało, że szedłem za komendantem do twego więzienia. O Boże! w jakiejże nędzy zastałem cię! — Stracili wszyscy na-

dzieję o twojém życiu; mnie tylko wielka ufność w Bogu pozostała. Błagałem Go jak najserdeczniej i postanowiłem nie odstąpić cię. Ten mój zamiar przyjął komendant grzecznie: pozwolił mi pielęgnować cię, przyrzekł przysłać wszystko, co sobie życzyć będę, i dał mi oto ten-ubiór, ażeby, gdybyś przyszedł do przytomności, nagłe poznanie mię złego na ciebie nie wywarło wpływu. Bóg zlitował się nad nami, niech będzie Imię Jego błogosławione!“

„Drugi to już raz, uratowałeś mi moje życie, — odrzekł Ernest ściskając przyjaciela — podwójnie do ciebie należę.“

Obaj przyjaciele milczeli długo pogrążeni w uczuciach głębokich.

ROZDZIAŁ XII.

Zakończenie.

Po upływie czternastu dni przyszedł Malwan o tyle do sił i zdrowia, że mógł się puścić w podróż do Francji; wspominał on tę swoją ojczyznę często z takim uniesieniem, że i komendanta zimna dusza, zdawała się rozgrzewać; a to zład domyślać się należało, że czynił najstósowniejsze przygotowania do tej podróży i żeby nie byli w drodze nagabywani przez brudną chciwość, dodać im postanowił konwój, któryby ich do granicy odprowadził. Tak więc zaopatrzeni bez najmniejszej zwłoki ruszyli ku Francji, do której z utęsknieniem wzdychali. Z jakimże uniesieniem ducha stanął Ernest na tej tak drogiej ziemi! „Teraz dopiero czuję

iż jestem wolny, i mogę zapomnieć wszystkie moje cierpienia, gdy jestem w mej ojczyźnie! — A tę szczęśliwość po Bogu tobie drogi Szczepanie, winien jestem!“

Od granicy aż w poblizę zamięszkania przebyli obaj przyjaciele spieszną pocztą; tu zaś postanowili iść pieszo, ażeby i użyć po ciągłym siedzeniu przechadzki i ubawić się uważaniem okolicy, przywitać znajome sobie a długo nie widziane pola, łąki, lasy, drzewa. — Gdy się doczekać nie mógł widoku lubej chatki Ernest pobiegł na bliskie wzgórze, ażeby ją prędzej ujrzeć.

„Widzisz nasz domek? — zapytał Szczepana — oto tam, — przy nim ów dąb pod którym spoczywaliśmy tak swobodnie! — Ale cóż to za dom pod dachówką murowany stojący w bliskości naszego?“

„Dom murowany? — A zkądżeby on się tam wziął; wszakci nasza chatka stała zupełnie odosobniona. Ty się zapewne mylisz.“

Tymczasem wszedł i on na pagórek, a widząc rzeczywiście dom murowany nie daleko od swjej chatki, dziwił się nie mało, ktoby go tam pobudować kazał. W tem zadumieniu szli dalej; i gdy już o parę set

kroków do swjej siedziby zbliżyli się, spostrzegli idącego na przeciw sobie żołnierza wspierającego się na mocnym kijku, który zdawał się być mu nieodzownie potrzebnym.

„Pewnie to będzie jaki weteran z wojny hiszpańskiej;“ tak mówił Ernest wpatrując się ciekawie w żołnierza. Po chwili wykrzyknął radaśnie, pośpieszył ku żołnierzowi i rzucił się w objęcia jego.

„Tak jest, mój drogi p. Leitnancie! — Ja jestem ów stary Frankur! — Jenerał postawił mię tu na straży, aby przyjąć pana; a ja od miesiąca już wyglądam! — O mój drogi Leitnancie, żebyś ty wiedział, co ja ucierpiałem, gdy wyszedłszy z lazaretu, gdzie mię rannego w nogę leczono, dowiedziałem się że jesteś w niewoli! — Ale już o tem nie mówmy, bo nam cieszyć się należy.“

Tak rozmawiali idąc, gdy Francur dobył myśliwskiej trąbki, i tak głośny dał sygnał, że go echo w całej okolicy powtórzyło.

„A cóż to znaczy?“ zapytał Ernest.
„Zaraz się pokaże,“ odrzekł śpiesznie Frankur i powtórzył sygnał jeszcze głośniej. Jakoż się i pokazało bo z domu murowanego wyszło kilka poważnych osób, a przez pola

śpieszył Piotr; wszyscy uwiadomieni sygnałem o przybyciu spodziewanych gości, szli ich powitać. Ernest poznał z daleka ks. Bonnewal i Jenerała, pośpieszył ku nim, i wnet witany był od nich z oznakami największego przywiązania.

Trzeba tu sobie wystawić, jakie uczucia unosiły ducha Ernesta, bo opisać byłoby trudno. — Po przywitaniu wszedł do chatki i znalazłszy w niej tyle wspomnień swój szczęśliwej młodości, uronił kilka łez.

„Drogi dziecię! — odezwał się ks. Bonnewal — ucierpiałeś ty bardzo wiele, pewny jestem, że tylko twoje wielkie zaufanie w Boga pokrzepiało cię i dodawało ci sił, żeś wszystko znieść potrafił. Zapomnij o twoich nieszczęściach, i wiedz, że powrót twój do domu, nie jest jedyną nagrodą twój stateczności, którą ci Opatrzność nagotowała; wnet dowiesz się czegoś pożądanego!“

Tu przerwał Frankur dając znak Jenerałowi, ażeby wyszedł. Właśnie w tej chwili zajechał powóz, z którego wysiadły trzy damy. Jenerał wyszedł naprzeciw nim, i wprowadził je do chaty. Gdy weszły ks. Bonnewal wziął Ernesta za rękę i rzekł: „Otóż twoje

szczęście, które ci dopiero co przepowiedziałem. Uściskaj swoją babkę; a pani przyjmij swego wnuka. Jest on godzien twój miłości.“

Nie podobna opisać tej sceny. Ernest padł do nóg babki, ta go zaś przyciskała ze łzami do swego serca mówiąc z łkaniem: „Poznaję go, poznaję, żywy obraz mojej córki, — mojej nieszczęśliwej Klementyny! — Drogie dziecię! ośmnaście lat opłakiwałam cię jako straconego, a oto dziś Bóg oddaje mi tę mniemaną zhubę, i zapełnia radością ostatki dni moich. Jakżebym mogła nie wielbić Go za tę wielką łaskę!“

W uniesieniu radości nie mogła się dosyć napatrzeć na swego wnuka — i naczytać się w twarzy jego pięknego, wyraźnie odbijającego się charakteru duszy. — Ernesta zaś upajała radością nazwa syna z ust babki pierwszy raz w życiu słyszana.

Tę radość dzielili wprawdzie wszyscy, ale Jenerał z obawy, żeby za długi ciąg uniesienia radośnego, nie wywarł złego wpływu na panią Mirawel, jako podeszła w latach i nadwreżonego zdrowia przez opłakiwanie córki i wnuka, przerywając te uniesienia rzekł do Ernesta:

„Kochany Erneście, oto tu czekają na ciebie jeszcze dwie osoby z wdzięcznymi sercami. — Tyś dla ocalenia mego, poniósł srogą niewolę, moja żona i córka pałają też samą wdzięcznością, jaką ja tobie winienem. Znajdziesz nas tak cię szanujących, jak powinni uczciwi ludzie szanować tego, co się za nich poświęcił, i życiem swem zastawił ich pomysłność. Nim wróciłeś, chciałem być jak najbliższym ciebie, kupiłem w bliskości dobra, a twa szanowna babka zbudowała oto ten dom, w bliskości lubej ci chatki; — w tym domu będzie umieszczenie wygodne dla was, a my będziemy was pielęgnować, żebyś zapomniał o wszystkich uciskach, jakieś dla nas poniósł.“

„O mój Dobroczyńco! — odrzekł Malwan. Te cierpienia, o których wspominasz są już zapomniane; wygluzowała je z pamięci twoja dobroczynność, jakiej mi dałeś dowody.“

Szczepan podczas tych wszystkich rozmów stał w kątku chatki, dzieląc szczęście swego przyjaciela w skrytości serca. Spostrzegłszy go Ernest, wziął go za rękę, i przedstawił swęj babce.

„Oto mój doświadczony przyjaciel, który

mi dwa razy ocalił życie. — Jego szlachetnemu, niesamolubnemu sercu, winienem to wielkie i niespodziewane szczęście. Chciój go przyjąć za drugiego twego syna, brata twego Ernesta, boć w nas obu bije jedno serce, też sama ożywia nas dusza!“

„O! ja zgadłam moje drogie dziecię, twoje życzenia dla Szczepana, wpieryw nim je wyraziłeś, — odrzekła pani Mirawel. — Toć wiedząc, ile on ci wyświadczył dobrego, ile się dla ciebie poświęcił, powinnam mu być wdzięczną, choćbyś o tem był i nie wspomniął. — Tak jest, od tej doby jesteście obaj mojami dziećmi, i mięszkać będziecie społem z waszą matką w bliskości waszego domku, w którym się wychowaliście. — Używajmyż wspólnie tych darów z wdzięcznością, jakich nam Opatrzność udzieliła.“

Powstała z krzesła i wspierając się na obu przyjaciołach, dodała: „pójdźcie moje drogie dzieci, i zobaczcie, co dla was matka wasza przysposobiła.“

Francur, który z niecierpliwością czekał na to hasło, pragnąc ucieszyć pięknym widokiem swego oficera, otworzył boczne drzwi, którymi wszyscy wyszli. Ernest zdziwił się nie

mało, gdy wszedł do pysznego ogrodu najpiękniejszemi wysadzonego krzewami i kwiatami, którego droga prowadziła do dworku, o którym wyżej była zmianka. Czekala tam w salonie przygotowana dla gości uczta.

„Ten dom — odezwała się pani Mirawel do swego zdziwionego wnuka — należy do ciebie, tu obchodzić będziem twoje przybycie. — Dzięki panu Jenerałowi, i poczciwego Feldwebela staranności, — który przez wzgląd na twoją przyjaźń z nami tu na zawsze zamieszka — dzięki, mówię, tym zacnym naszym przyjaciółom, stanęło to wszystko z niepojętą szybkością. — Teraz dopiero dziękuję Opatrzności, że mię obdarzyć raczyła majątkiem, bo do chwili, aż ciebie znalazłam, za nic go poczytywałam. Teraz cenię go, bo mogę twoje życie uczynić szczęśliwem; a którażby to matka nie cieszyła się, że może syna swego zaopatrzyć w to, co mu jest potrzebne?“

Po tych tkliwych zajściach, siedli wszyscy do stołu. W czasie stołu dał Jenerał na prośbę Ernesta objaśnienia niektórych jeszcze mu niewiadomych okoliczności.

„Przypominasz sobie — mówił — że ci

dałem słowo, iż będę śledził twojej rodziny. Podług tych wskazówek, któreś mi powierzył, zdawało mi się, że dojdziem do pożądanego celu. Przeto zaobowiązałem moją w Paryżu mieszkającą żonę, — ażeby usilnie starała się dowiedzieć o pani Mirawel, twojej babce; i nie zaniechała nic w tej mierze, wiedząc jak ja usilnie pragnę przysłużyć się tobie. Przecież wszystkie usiłowania były daremne.“

„Nieszczęśliwa wojna rossyjska przerwała nasze w tym względzie starania. Po owém niepomyślném starciu się z nieprzyjacielem, gdzie stałeś się moim oswobodzicielem, straciłem wszelki ślad po tobie. Wyślany natychmiast oddział żołnierzy już cię nie zastał; domyśliłem się przeto, iżes się dostał w niewolę. Zawezwalem po-kilkokrotnie najbliższego Jenerała rossyjskiego, aby mi cię za nagrodą zwrócił; nie odebrałem żadnej odpowiedzi. — Udałem się potem drogą dyplomatyczną, ale i to pozostało bez skutku. Z kampanii rossyjskiej wróciłem wprawdzie do Paryża, ale to wtak nędznym stanie, że należało wątpić o mojem życiu. — Pozyskawszy, dzięki Najwyższemu zdrowie,

Młody Dobosz.

usiłowałem się tem pocieszyć z twęj straty, że w bliskości twęj siedziby kupiłem dobra i na nich zamieszkałem.“

„W jaki sposób dowiedziałem się, iż żyjesz, jest ci wiadomo, równiesz wiadomo ci co dla ciebie czynił zacny nasz pasterz. — Szczepan odebrawszy nakaz twęgo uwolnienia od Cesarza, nie omieszkał pośpieszyć, zaopatrzonej na tę podróż do ciebie, a my tymczasem zajęliśmy się przygotowaniem na twoje przyjęcie. — W tym właśnie czasie pisałem do męj żony do Paryża, ażeby z córką przyjechała do dóbr. Domyśl się jak wielką uczułem radość, gdy przywiozły z sobą panią Mirawel, twą babkę. Znalazły ją po długim i obszerném śledzeniu w bliskości siebie, to jest w jednym klasztorze w Paryżu, gdzie od kilku lat oplakiwała stratę swęj familii. Z tego wszystkiego, co jęj żona moja o tobie oświadczyła, nie mogła wątpić: że Ernano i Pepyta, którzy mieli ciebie z Hiszpanii przywieść do nięj, ułasczywszy się na majątek twój rodzicielski ciebie porzucili, i sami z Francji uciekli. Nadzieja odzyskania ciebie sprowadziła ją do nas, gdzie zamieszkała, aż dopókąd ten dworek nie został ukończonym,

który ona z radości, że pozna w tobie swoję drogą Klementynę, kazała dla siebie i ciebie zbudować. — Stanęła wprawdzie budowla szybko, ale że to wszystko świeże, nie podobna tu na zimę zamieszkać: przeto spodziewam się, że nieodmówicie mi tęj przyjemności i zamieszkacie z nami na moich dobrach.“

Gdy skończył Jenerał i odebrał przyrzeczenie, że p. Mirawel i Ernest w jego dworze przez zimę zamieszkają, a Frankur jako rządzca nowego dworu i Szczepan zostaną w miejscu, opowiadał Ernest zdarzenia swęj niewoli, nie zapomniał też o Pepycie i jęj cierpieniach, które ponosiła prześladowana przez własne sumienie.

Możnaby na tem niniejszą powieść skończyć, ale skreśliwszy cierpienia tych poczciwych ludzi, czemużby nie miało być wspomniane ich życie szczęśliwe? — Wszakci Opatrzność nie doświadcza swych wybranych bezustannie samemi tylko przykrościami, ale jeszcze niekiedy i na tęj ziemi pozwala im odpocząć. — Jak niegdyś owęgo Józefa doprowadził Bóg, przez nienawisć braci, złość podłęj kobiety i więzienie do

znakomitego stopnia urzędu, na którym sam szczęśliwy stał się dobroczyńcą całego Egiptu i swęj familii: tak Ernest i Szczepan po kikonastoletnich cierpieniach żyli swobodnie na dworze p. Mirawel, na łonie przyjaźni z familią Jenerała, ks. Bonnewal i Frankurem, w długie lata. — A że posiadali od młodości szlachetne serca, że na tych przyjęło się ziarno nauki Zbawiciela, przeto też z wiekiem cnoty ich rosły i stały się tak mocne, iż ani burza ich obalić, ani szczęście zachwiać nie zdołały.

Schowani i wzrosli w stanie ubóstwa, nie byli dumnymi z posiadanego majątku, i nie stali się próżniakami lub rozrzutnikami, jak to bywa u tych, co uagle przyjdą do czegoś; — lecz pamiętni na dawny swój biedny stan, umieli czuć potrzeby bliźnich i wspierać ich. A tak przy majątku, pracowitości i oszczędności, stali się dobroczyńcami całej okolicy.

Domyśleć się należy, że ks. Bonnewal nie przestał być przyjacielem i doradcą swych uczniów, ciesząc się, że Bóg pobłogosławił raczył jego staraniom poniesionym około ich wychowania. Nie raz gdy przeżywszy dzień w zatrudnieniach dohroczynności, siedli pod

dębem przy chatce rozmawiając o ubiegłych c zasach, lub czyniąc szlachetne projekta na przyszłość; — nie raz, mówię, rozrzewniony Ernest mawiał: „Jakże też to cudownemi prowadził nas Bóg drogami! — a przecież nie opuścił nas ani na chwilę i doprowadził nas do szczęśliwości!“

„A to dla tego was nie opuścił odpowiadał ks. Bonnewal — iżeście Mu, nawet wśród największych nieszczęść, statecznie dochowali wiary, i nie zboczyliście z drogi, którą wskazał swemi przykazaniami; a ta to właśnie droga prowadzi do szczęścia bo choćby nie doprowadziła do ziemskich cielesnych pomyslności, to niezawodnie doprowadzi do spokoju duszy, a to jest najwyższe dobro, którego tu na ziemi kosztować może człowiek.“

KONIEC.



